Nr. 5. Lwów, dnia 1. Maja 1886. Rok IX.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

SŁONKA

(SCOLOPAX RUSTICOLA, DIE WALDSCHNEPFE, LA BECASSE)

PRZEZ

KAZIMIRZA hr. WODZICKIEGO.

Upierzenie, życie, zwyczaje. Przedewszystkiem wypada ostatecznie rozstrzygnąć wątpliwość co do nazwy ptaka, pojawiającą się uporczywie w nowszych czasach. W r. 1880. umieścił Karol Brzozowski w „Łowcu“ nader cenny opis polowania na słonki w Syryi północnej i szukał źródłosłowu słonki w tureckiej nazwie *czulłuk* lub *sułłuk*, jakoteż w rosyjskiej *słuka*, wreszcie radzi pisać *słąka* lub *słęka*. Gdybyśmy pisali słące, a nie słońce, zgodziłbym się na tę nazwę nieznaną tem łatwiej, że autor „Myśliwstwa ptaszego“, wydanego w 16 wieku, pisze już słąka. Nazwa ta musiałaby chyba pochodzić *z łąk*, i do nich się odnosić, jako do ptaka na łąkach żyjącego, a w takim razie w błąd by tylko prowadziła, bo słonka ani przebywa na łąkach, ani też życie w nich spędza. Czesi mianują ją: *słuka*, a w niektórych wschodnich częściach naszego kraju zowią ją *sołokwa*. Kluk pisze *słomka* i ta nazwa dosyć rozpowszechniona u nas, lecz nie ma ona charakterystycznych znamion. Ktoś zapytany o wyjaśnienie tej nazwy, odpowiedział, iż przyczyną jest długość dzioba, podobna do źdźbła słomy. Inny pragnął dowieść, że nazwa pochodzi od barwy, podobnej do słomy. Rządczyński a za nim Konst. Tyzenhauz nazywają owego ptaka w swoich dziełach *słonką*, wywodząc tę nazwę od przelotów i ciągu słonek przy wschodzie i zachodzie słońca. Podczas licznych moich ornitologiczno-myśliwskich wycieczek zapytywałem nieraz strzelców i myśliwych prostaczków, jak nazywają leśnego długodzióba, jedni mówili słomka, drudzy słonka, ale na domaganie się objawienia powodu nazwy, odpowiadali, że lata i ciągnie przy wschodzie i zachodzie słońca. Na tej podstawie i ja też wnoszę, by nazwa: *słonka* przyjętą została.

Na pozór zdaje się być śmiesznym opis upierzenia słonki, w rzeczywistości zaś wykazuje praktyka potrzebę jego, nie tylko z powodu rozmaitości barwy, jakiej żaden inny ptak na wolności nie przedstawia, ale także dla studiowania dalszego tych rozlicznych odmian i ich przyczyn.

Hr. Tyzenhauz posiadał niepospolity dar jasnego i treściwego opisu ptaków obok wskazówek odznaczających cech, przy opisie jednak słonki talent ten jego nie wystarczył, pisze on, „z wierzchu ruda, czarno i biało plamista*), czarniawo pręgowana i upstrzona, od spodu rudawo-biaława,

*) Hr. Tyzenhauz pisząc biało-plamista wprowadza w błąd czytelnika, który na płaszczu nie dopatrzy białego koloru i nadaremnie szukać go będzie, znajdzie chyba na spodzie sterówek, innego pierza białego słonka nie posiada.

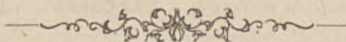
brunatno falisto pręgowana“. Zaiste to określenie nie wyobrazi upierzenia słonki, a ja twierdzę, że żaden pendzel, żadne pióro nie przedstawi dokładnie tego upierzenia, zmieniającego się nie tylko kolorytem, lecz i ułożeniem pierza na płaszczu. Nie tu miejsce zapuszczać się w drobne szczegóły, więc pragnę jedynie wskazać charakterystyczne oznaki przeważnej części tego dziwnie zmieniającego się upierzenia, zupełna bowiem dokładność zmuszałaby do opisania 8 do 10 barw i jeszcze spotykałyby mnie zarzuty niedokładności. Czoło popielate, przez głowę trzy czarne paski, przedzielone rdzawymi nieco upstrzonymi, ku karkowi czwarty pasek rdzawo czarny bez wybitnego koloru, od dzióba policzki cielisto-żółtawe, na bokach szyi plamki czarne, posuwające się do nasady dzióba i ku oczom. Płaszcz rdzawy z dużemi, aksamitno-czarnemi graniastemi plamami, wśród upierzenia znowu plamy rdzawe i ciemnopopielate, które tworzą nierówne pasy, niekiedy zygzakowate, lotki rdzawe, czarno-pręgowane, spód żółtawy, białawy, jasno-rdzawy lub jasno-szary, brunatno gęsto pręgowany. Ubarwienie płaszcza przedstawia rozliczne odmiany w kolorycie i w układzie tych pasków, bo niekiedy przeważają czarne, rdzawe, to znowu popielate, pochodzące z upierzenia lub z ułożenia piór, które wtedy inny obraz dają. Spód z przejściami od brudno-białego koloru, żółtego, szarego do jasno- czyli żółto rdzawego przez krocie odcieni z pręgami gęstszemi lub rzadszemi zaledwie widocznemi. Kuper brunatno-rdzawy, podogonie jasne ciemno upstrzone, sterówki w liczbie dwunastu czarne z końcówkami rdzawemi, pod spodem z okrągłemi śnieżno-białemi plamami. Wszystkie słonki od siebie odmienne i wiele w nich szczegółów odrębnych, tak po za lotkami na samej krawędzi osadzone twarde, szpiczaste, elastyczne pióro pół cala długości wcale nie wskazuje celu i użytku. Za moich młodych lat używano tych piórek jako pendzli, wszyscy je zbierali, a nawet była chwila pokupu na nie, jako niedogodne dzisiejszej sztuce poszły w zapomnienie. Dziób również inny, jak u reszty błotnych ptaków, trzy cale długi, przy nasadzie sześć linii wysoki, staje się ku końcowi szczuplejszy i zaokrąglony. Dziwnie giętki cały, ku końcu rogowej twardości, wycięta na 1½ linii część wierzchnia tworzy haczyk, do którego przylega dolna szczęka, celu tego mechanizmu jeszcze nie znamy, służy oczywiście do wydobywania owadów w ziemi i w łajnach. Dziób szaro-cielisty, ku końcowi ciemny, po śmierci staje się szarym, traci swą elastyczność i wydaje się o połowę cieńszym, jak był za życia. Nogi silne i dosyć grube, podobne do kuropatwich z tą różnicą, że palce dłuższe, a średni najdłuższy. Kciuk dotyka ziemi, pazurki zagięte i dosyć ostre wskazują cel drapania ziemi przy szukaniu żeru, czego u innych ptaków błotnych nie dostrzegamy. Kolor nóg cielisto- lub szaro-oliwkowy. Oko wysoko osadzone, nieproporcyonalnie duże i wypukłe z ciemną tęczą, błyszczące i czarne jak korale, przyczynia się do wytworzenia oryginalnej ptasiej postaci, wzbudzającej naszą ciekawość. Cała skóra pokryta gęstym, miękkim, ciemno-popielatym puchem, dokładnie pod pierzem ukrytym i ten to meszek jak futerko delikatne chroni słonkę od zimna i usprawiedliwia pobyt jej na głębokich śniegach i w dokuczliwych mrozach.

Ubarwienie słonki, jej harmonijnie marmoryzowane pierze bawi mile oko, gdy się pojedyncze widzi, zdają się być jedna do drugiej zupełnie podobne, ale rozpatrzywszy się bliżej widzimy w każdej odmianę, a gdy cały szereg ich przed nami leży, wtedy dopiero przedstawia się nieskończona liczba różnic, odmian i odcieni nie tylko na płaszczu tak dziwacznie marmoryzowanym, na którym rdzawy kolor, czarny, to znowu popielaty góruje, lecz ptaki na grzbiecie leżące wykazują ubarwienie na brzuszkach w stokrotnych odmianach i tu istotnie *varietas delectat.*

Słonka zmienia swe pierze dwa razy w roku, na wschodzie raz, u nas częściowo drugi raz, począwszy od Sierpnia postępuje pierzenie stopniowo aż do czasu odlotu, powracające zaś jeszcze niekiedy w Kwietniu okazują niedokładne wypierzenie. W moich notatkach wyczytuję spostrzeżenie, nieraz powtarzane, o rocznych i świeżych piórach, pomięszanych z dawnemi na ptaku. Znanym jest pierzenia postęp, mianowicie gdy ptak silny i na obfitym żerze, szybko ono i w krótkim czasie następuje, u ptaków chudych i podróżą wyniszczonych dzieje się przeciwnie.

Pierwsze lotki w stosunku do drugorzędnych szpiczaste i długie, tamte zaś krótkie i zaokrąglone, co czyni słonkę w locie podobną do sokolika z wyciętemi skrzydłami. Słonka jest wielkości kuropatwy, wydaje się jednak o wiele większą z powodu długości lotek, które ogona nie przykrywają. Do nas przylatują wyjątkowo małe słonki, ledwie nieco większe od dubelta, częściej na wiosnę niż w jesieni, są one znane i w Niemczech, z ubarwieniem podobnem do naszych i ciemniejszego upierzenia. Przypominam sobie wiosnę, w której do krzaków mojego rewiru przyleciało ich kilkadziesiąt, były nielękliwe, poddawały się gonieniu i ginęły stoiczną śmiercią. Niestety przypadły wówczas święta Wielkiejnocy, po których już ich nie było. Często znajdowałem słonki w małych stadkach, ciągu drugiego znaczniejszego nie pamiętam.*) W jesieni najpóźniej ciągną, na wiosnę nie spieszą się do letniego mieszkania, co nasuwa mi przypuszczenie, że te ptaki gnieżdżą się na północy na granicy śniegów i lodów ze skąpem wyżywieniem i nader krótkim czasem do wykarmienia piskląt i do ukończenia wypierzenia, przy dalekiej i męczącej podróży. Widocznie lecą innymi szlakami, jak nasze słonki, kiedy się u nas tak rzadko pojawiają, muszą być do tego zmuszone przeciwnymi wiatrami. Kto na te urocze ptaki kiedy polował, musi gorąco pragnąć owych wiatrów, napędzających nam słonki.

*) Niektórzy przypuszczali, że ta mała słonka bywa do nas zaganianą przypadkowo z Ameryki, bo znana ona jest jako słonka amerykańska *(scolopax minor)*, przypuszczenie to jednak jest mylne, gdyż zaatlantycki ów ptak nie posiada pasków na głowie ani też pręgów na głowie.



Fragment z życia myśliwego

(poświęcony Bron. Komorowskiemu, prezesowi Tow. św. Huberta)

skreślił

Leon Gustaw Dziubiński.

Przyroda budzi się ze snu,
Powietrze pełne wiosny tchu
I wszystko w lot odradza
Tajemna wielka władza.
Wypuszcza listki każdy krzew,
Szczebioty słychać z pośród drzew,
Ptaszęce to hejnały!
Słabiuchny motyl wzlata rad,
W murawie błyska wczesny kwiat,
Lubieżny wiatr owiewa
Ptaszęta, muszki, drzewa.
I każdy twór zaślubia się,
Co żyje, wszystko kochać chce,
Miłością tchnie świat cały.

Ze strzelbą i z legawym psem,
Owiany czystym wiosny tchem,
Na leśnej stoję łące;
Już słońce zachodzące
Źrenicą krwistą żegna mnie
I zsuwa się po niebios tle
Na drugą gdzieś półkulę.
Zaczyna szarzeć — cichnie las,
Już dzięcioł w swoje dziupło wlazł,
Sikorka czasem jeszcze
W gałązkach zaszeleszcze,
I cicho — tylko czarny kos
Zagwiżdże w swój fletowy głos
Głęboko, rzewnie, czule.

Zmierzcha, już we śnie zaległ bór,
Umilknął całkiem ptaszął chór,
Na oziminę zając
Wychodzi przysiadając,
Po modrym stropie chmurki mkną
I księżyc otoczony mgłą
Łagodnie się uśmiecha;
Mnie zaś ogarnia dziwny czar,
W mej duszy także milknie gwar...
Wtem pies mój zestrzygł uszy
I ani się nie ruszy
I wytknął głowę w górę — w dal
I chwyta wśród powietrznych fal
Chrapliwych tonów echa.

Ja słucham także — drząca dłoń
Zabójczą chwyta szybko broń,
Do twarzy ją przykłada,
Za chwilę strzał wypada,
Powietrze wstrząsnął hukiem swym,
Po łące ściele szary dym
I w głuchem echu kona.
Zaledwie przebrzmiał tylko strzał,
Mój pies raźnego susa dał
I zniknął w czarnym lesie,
Lecz wkrótce w pysku niesie
Zupełnie żywą słonkę mi,
Ona trzepoce się i drży,
W skrzydełko postrzelona.

Skwapliwie wziąłem ją do rąk
I byłem świadkiem strasznych mąk,
Ja srogi jej morderca,
W pospiesznem biciu serca
Czułem jej bojaźń, czułem strach,
A oczy, czarne oczy — ach!
Te oczy jak patrzały!
Przebijał się w nich trwogi szał,
Przedśmiertny płomień silnie tlał
W tem oku bolejącem,
Okrągłem, czarnem, szklącem
I gdym usłyszał cichy jęk,
Jakiś mną dziwny władnął lęk,
Że w głębi drżałem cały.

Słonka boleśny śle mi wzrok,
Spojrzenie jej przebija mrok
I duszę moją rani,
Jakąż mam pomoc dla niej?
Chcę mękom słonki zrobić kres,
Rzuciłem psu, lecz nie chce pies
Zadusić tej ptaszyny.
On słyszy inny, świeży głos
I czeka, rychło nowy cios
Ze strzelby mej wypadnie.
Już druga ciągnie składnie,
Lecz jam w leżącą oczy wpił
I strzelby podnieść nie mam sił —
Zbyt krwawe to wawrzyny!

U nóg mych kona słonka tuż,
Nie będzie wzlatać biedna już
W powietrznych sfer lazurze,
Swobodnie gwarząc w górze.
Ołowiu nagły przeciął grot
Jej równy, miękki, cichy lot
I przeciął go na wieki...
Czemuż przybyła do tych stron,
Zaledwie mroźny zniknął szron,
Zwiastować dnie radośne,
Zwiastować miłą wiosnę,
Czemuż witała znany gaj,
Witała swój rodzinny kraj,
Swe lasy, góry, rzeki.

Wracałem niosąc w sercu żal,
Myśl moja pierzchła kędyś w dal,
Przyrody wzniosłe dzieło
Do ziemi mnie przygięło.
Czułem się małym, nędznym tak,
Że nawet najdrobniejszy ptak
Odemnie wyższy przecie...
Czułem, że tak jak ptaszki te
I człowiek nędzne życie swe
Wraz z drugiem niech zjednoczy —
I wtedy czarne oczy
Błysnęły mi w pociechy znak,
Że znów nie jestem biedny tak
I nie tak sam na świecie.

We Lwowie 23. Marca 1886.

Puszcze i knieje podgórskie w starożytności i wiekach średnich

przez

Szczęsnego Morawskiego.

(Ciąg dalszy.)

Południowy brzeg niski, błotnisty. Rogożnik, Lepietnica, Łopuszna, Ostrowsko, Skrzypne, wskazują zarośla błotnej rogoziny, której nazwa sławiańska *ro-goizd* oznacza wodne zarośla. Trzciny i sitowia tworzyły gąszcza zbite; a trawy błotne kępami wysokiemi sterczały nad wodę, niekiedy jako wysepki pływające połączone mchem torfowym, który się zgęszcza coraz bardziej aż utworzy ruń pagórkowatą niby poduszkę miękką, na której wyrasta: wrzos, łochynia borówka, żorawina, bagno, rozmarynek i t. p. Ulubione to żerowiska grubszego ptactwa błotnego; pod-

czas gdy ptactwo wodne pływające, łopotało się wśród trzciny i rogoży, wysiadując i lęgnąc się na ostrowiu stałem a nawet pływającem.

Dzikie świnie rozkoszowały sobie tu zwłaszcza w pobliżu puszczy Dębnej wedle ujścia Białej – odpływu Morskiego oka.

Żubry były nad Orawą, były nad Popratem (Zubrzyk) niepodobna żeby unikały jeziora dunajcowego.

Łosie z nad Popradu (od Łosia...) i z nad Dunajca dolnego (Ł-Ossowie) na lato ciągły ku górom.

Wilcy więc w rokicie i rogozinie mieli matecznik wyborny, po fenicku zwan *zeb-sukhe:* wilczy matecznik, znać dobrze znany, Zub Suche dzisiejsze. Jest zaś podanie ludowe o Matuli łowcy, któren na setki łowił wilki w doły i na strzał z kryjówki *(Sądecczyzna I 71)*... Nie był to może jaki fenicki *math-al* tępiciel wilków na wzór *Hareglisa* (Herakles) tępiciela lwów?...

Taką była ongi puszcza Podhala, takiem jezioro Dunajca.

Fenicy od zachodniej swej Magury (orawskiej) zeszli na Ornak i na Banistem szukali srebra; albo na Pysznej, fenickiej *Pirst-aj*: kopalnia. Ztamtąd niezawodnie bacząc Dunajec płynący ku Bałtykowi, chcieli płynąć wodą, co nie mogło być powyż ujścia Rogożnika. Tam zbijali korabie (tratwy) nawołując górali a niewiasty ich kąpiąc się i pierąc chusty przywabiały góralki ciekawe i wykradały lub odkupywały im dzieci. Ztąd podanie w Długopolu że topielce czarnowłosych pływających i o bogińkach białoodzianych co porywały, lub odmieniały dzieci zajeziornych Asow. Ztąd nienawiść i opór! Asy przeszkodzili spławowi, wtargli do Kościelisk i opuszczoną kopalnię fenicką po swojemu nazwali *Urnaka:* kupa ziemi wyrzuconej

Fenicy musieli zaniechać spławu jeziornego i zwrócili się na zachód do Jaworyny i Poronina. Ztąd Białki doliną szli w dół do Corstyna, który nosi nazwę fenicką: *Cörstyna* t. j. skała wzniesiona. Więc to grodek fenicki jeszcze. Tam w skałach tych założyli wyrobnią kuźniczą *phal-kid:* w miejscu zwanem dziś Flaki.

X. *Pioniny.* Fenicy nazwali, bacząc zakręty rzeki i tajniki: *pine*, zakręt góry, *pionim* ukryte, utajone.

Grodek też samorodny zużytkowali w miejscu, kędy po tysiącu lat później Kinga wzniosła grodek murowany, który ją ocalił.

Piński kamień wondy stanowił zaporę Dunajca. Wedle podania Kinga spłynęła na nim t. j. kazała go rozbić i opuściła wodę rzeki, która zalewała Nowotarszczyznę już stale osiedloną.

Pioniny są kończyną Gorczów, których nazwa sławiańska była Kluczki (czyli Kłębek) sięgająca od Kluczek (Niedźwiedzich) aż po Kluczkowce nad Krosnicą potokiem (łotw. *gohra*, kłębek, kluczki). Zdzar wirch jest przyczołkiem ku Pioninom.

Kluczkami słusznie nazwane te góry, bo tędy przekładał zwierz każdy, dążąc od północy do jeziora Dunajcowego i ku Tatrom. Tędy też szlak człowieczy konieczny, od zachodu i północy, prawym brzegiem Dunajca. Tutaj Prałotwa dążąc ku Pannonii, stanęła bezpiecznie na przesmykach broniąc przejścia podróżnym dążącym po jantar. Podobnie niedźwiedzie zasiadali na łosia, żubra, tura i jelenia, gdy te ciągły ku górom lub wracały do pieleszy zimowej. Tędy Mongoły Batuchana od Krakowa r. 1241. przekładały na Węgry za uciekającą Kingą i mężem jej Bolesławem, łowcą znakomitym, co na pieniądzach swych kazał się wyobrazić jak na oszczep bierze tura... Żartobliwie też zwan wstydliwym. Oboje schronili się w Pioniny i ocaleli. Podanie ludowe opowiada rzewnie o kwiatkach czerwonych wyrastających, kędy z bosej nóżki pietnastoletniej królowy padła kropla krwi, a białych kędy padła łza (patrz *Sądecczyzna I).* Cystersi zakonnicy schronili się na skałkę w Szaflarach i ocaleli także. Kinga wzniesła w Pioninach grodek a mąż jej utwierdził Czorstyn. R. 1287. znowu Tatarzy przypadli oblegali Kingę ale nie zdobyli w Pioninach. R. 1430. waliły się tedy zastępy czesko-polskie Hussytów, zakładali obóz na górze Zdżar, opanowali Pioniny (zkąd znaleziony grot żelazny posiadam) i kusili się o Corstyn.

Tędy przejeżdżali królowie, przedzierały się zastępy wojenne ciągle a ciągle. A jak dawniej niedźwiedzie, tak już za moich dni wilcy ciągle tu przekładali i nie dziwo było nocą zoczyć wedle drogi świecących ślepi kilkoro. W Krościenku pole plebańskie zwie się: pustelniczem.

Przyjdzie czas że i kolej żelazna przechynie te góry, bo to szlak samorodny.

Całe Gorcze znakomite położeniem dogodnem łowom równie jako i wojnie; w nazwach samych już, noszą niezatarte obojgu znamiona, poparte doświadczeniem leśnołowieckiem, jako i dziejami i wykopaliskami. W puszczach zaginionych cisu, limby, jaworu, dębu... pośród niedźwiedzi, żubrów, turów, jeleni... żyło plemię ludzkie przychodnie zdala, walczące z sobą na krzyżujących się ścieżach, jakiemi były Gorcze - Kluczki.

Naprzeciw Makowicy, fenickiej dziedziny, było Ossobie, Azow, Ossow osiedli na wzgórku prześlicznym niejako grodek osiedla w Ochotnicy nad Dunajcem... może pierwotnie sioło Sarmatów fińskich *(Aach)* nad Dunem?...

Naprzeciw fenickiej stroży na Tokarni, Tokoniu (fen.) *(tokeh* trąbić) trąbiły straże łotewskie na Modyni (łotw. *modynat*, pobudkę głosić) zdobytej...

Fenicy wyrębywali kiczory: Łotwa cięła Czyrcze i czerteże...

Zwierz ustępował człowiekowi, puszcze zaludniały się.

XI. *Sądecka puszcza* — należała do tych, kędy człek najpierw wypierał zwierza... najpierw od Pra-Sącza.

Jeziorzysko sądeckie należy do kotlin najcudniejszych z każdej strony z każdej góry oglądane.

Na bagnach była puszcza cisowa odwieczna, skoro z szczątków jej wybudowan Nowy Sącz w miejscu wsi Kamienicy w pobliżu pustelni, która stała tam, kędy dziś dworzec kolei żelaznej. R. 1292. Niemce i Czesi, Wacława zrąbali cisy na domy dla siebie. Puszcza ta dosięgała wirchów Modyni, gdzie cisowego wirchu nazwę stwierdzają grube pniaki cisowe — z których jeden długie lata leżał a może jeszcze i leży na poddaszu szyi piwnicznej w dworze Kamienicy.

Sądecczyzna stara leżała nad Poprudem i Dunajcem, kędy się te rzeki łączą, zajmowała Podkrępasze północne całe, aż po Łososinę rzekę. Prastary jednak Sącz leżał na lewym brzegu Dunajca, a grodzisko jego istnieje jako przyczołek mostu w Gołkowicach, którędy wszyscy goście zdrojowi i wszyscy komisarze zdrojowi Akademii krakowskiej jeżdżą do Szczawnic. Sącz nazwa jest fenicką: *sud* t. j. sąd.

Tutaj więc w epoce starej cisu, feniccy wychodźce z Panonii, założyli gród niejako powiatowy, kędy sądzili sprawy swoje i ludności pielej. Był to powiat sięgający od

Modyni — (fenick. *modine*, powiat), Mogilicy (fenick. *Megl* obóz okopany) *Tokonia (tokeh:* trąbić); knieja przepyszna jaworowa (Jaworze) przerastana cisem (cisowy wirch pod Modynią — Cisówka pod Skiełkiem) pełna zwierza bydła i owiec.

Bydło miało stania i błonia w dołach (Stanęcin i Stadła), owce pagórkami: Owieczki, Rożków i Olszany wówczas zwanej *Oszana*, od sarmackiego *osz*, owca. Boć Sarmaty mieszkali tu nad swoją wodą Dunajcem.

Bronili się napaści Ossów łotewskich, którzy na Okowończu poczynili zasieki i zawady (łotw. *ap-kawet*, zawadzać) powyż dzisiejszej Zawady, zkąd wychodzili na zdobycz przez Spleśnią ku Jaworzu (łotw. *plest* odzierać) uboczami Skiełka (łotw. *sklejens*, pochyłość) — w porzecze Słomki.

Słomka rzeka to knieja Sarmatów *sus-lionk:* łosiów ścieża, które z matecznika swego Ossowia (łosowia) Mokrej Dąbrowy i Rogów przekładały błotem Moczura ku Berdychowu, kniei górskiej (łotw. *bredys* łoś) łotewskiej.

Kanina naprzeciw Berdychowa też knieja sarmacka, knieja renów (wogól. *Kunna)*, które się wonczas zapuszczały daleko ku południowi. Przecież Rzymianie w tryumfie wiedli królika północy na sankach o uprzęży renami. Dąbrowy też nie wszystkie nazwane od dębów, ale może od żubrów sarmackich *dumbaj*...

Sarmaty fińskie pod wodzą Feników wygnańców, bronili tu kniei swych przeciwko Azom łotewskim a walka była zacięta, bo walka o byt.

Pobojowiskami była Kiczna (fenickie *Kid*; klęska i Mordarka (fen. *mordah*, podbój. Fenicy ztamtąd znosili zwłoki na zwykłe swe obszerne smętarzysko gdzie je palili pochodniami podniecając stosy przy śpiewie żałobnym.

Łotwa z gór poglądała na ten obrzęd fenickiego smutku (fenick. *muth*, śmierć) i nazwała miejsce Łukowicą i Świdnikiem od wyrazów swoich *luktees*, modlić się i *swilt* smędzić; a droga żałośna dochowała nazwę fenicką *tere-kalel*, brama płaczu, dzisiejszy Tyrkiel.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PAN PREFEKT

PRZEZ

ALEXANDRA UBYSZA.

(Dokończenie.)

Prefekt opowiadał mi swe dzieje: „W domku tym moim ubogim straszne przeżyłem chwile, a jednak nie porzucam tej rodzinnej strzechy. Przed laty trzydziestu umarła żona, pozostawiając czworo drobnych dzieci. Wkrótce złączyły się z nią trzy córki. Syn wychował się zdrowo, ożeniłem go z posażną i zacną kobietą. Żyliśmy w zgodzie i miłości razem. Przed czterma laty syn, myśliwy, wyśledziwszy gawrę niedźwiedzią poszedł z kilku sąsiadami w celu upolowania maruchy. Gawra znajdowała się w skalistem urwisku. Syn mój począł drągiem budzić śpiącego niedźwiedzia, towarzysze stali w pogotowiu z odwiedzionymi kurkami. Mimo silnego trącania mysio nie wychodził, więc syn zagląda w jamę, wtem niedźwiedź chwyta go łapą za głowę, zdarł z niej skórę i zgruchotał czaszkę. Skonał na miejscu nieszczęśliwy". Zasępił się stary, głęboka zapanowała cisza. Głośne syczenie starego zegara, grającego niegdyś kuranty, obudziło starca z smętnej zadumy. „Możesz pan sobie wyobrazić rozpacz, gdy przyniesiono martwe ciało naszej jedynej pociechy. Synowa na ten widok z strasznym krzykiem padła zemdlona, odzyskała wprawdzie życie, ale obłąkanie po dwóch latach wprowadziło ją do grobu, ani lekarze, ani znachory jej nie pomogli. Pozostał mi wnuk, całe moje szczęście na tej łzami przezemnie oblanej ziemi, oddałem go do szkół i pozostałem sam. Wracam do strasznego wypadku. Oszalały z rozpaczy zapragnąłem zemsty na sprawcy naszego nieszczęścia. Z oszczepem w ręku, bez czapki i należytej odzieży popędziłem w las ku gawrze. Śnieg przed nią był zabarwiony krwią mego drogiego syna, niedźwiedź nie wyszedł. Nazbierałem suszu, obłożyłem nim otwór gawry i podpaliłem. Po chwili wysunął się z niej olbrzymi niedźwiedź, spostrzegłszy mnie wzniósł się na zadnie łapy i szedł prosto na mnie. Tego też pragnąłem, z wściekłością rzuciłem się na niego i utopiłem oszczep w jego cielsku. Niedźwiedź zwalił się martwy u nóg moich, po szybkiem wydobyciu grotu, wskutek czego przystęp powietrza gromem zabija zwierza. Skóra z tego niedźwiedzia, jako smutny tryumf, służy mi do dnia dzisiejszego. Ale czas już na spoczynek". Byłbym noc całą słuchał jego opowieści, ale nie śmiałem rozżalonego smutnem wspomnieniem starca wzywać do nocnego niewczasu, więc udaliśmy się na spoczynek.

Nie mogąc zasnąć długo słyszałem prefekta, odmawiającego ruskie pacierze i wybijającego czołem o podłogę pokłony. Nazajutrz o świcie zbudził mnie jakiś głos, niby ptaków świegotanie, wreszcie usłyszałem blisko cieniutki, donośny głosik: sik, sik, sik, cikut, cikut, tsz — to błękitna sikorka żydóweczka najswobodniej skacze po mnie, ruszyłem się, frunęła siadając na piec i znowu poczęła spiewać i skakać wesoło. Z alkierza ozwał się chór ptasi. Co tchu skoczyłem z posłania, ubrałem się i zaglądam do alkierzyka. U pułapu wisiała duża gałęź jodłowa, na niej skakało i szczebiotało kilkanaście ptasząt, mianowicie czyże, szczygły, dzwońce, a nawet gile. Zjawił się prefekt. „Dzień dobry — rzecze — pan lubi ptaszki, to chudoba mojego Michasia, łapie ją samotrzaskiem i wpuszcza do alkierza, a ja hoduję i mam w tem przyjemność, w dniu Wielkiejnocy wypuszczam ten rój ptasi na wolność, aby Boga chwalił spiewem po gaju i lesie". Po śniadaniu zaproponował staruszek polowanie na zająca w towarzystwie kilku sąsiadów szlachty. Było ich pięciu, wszyscy w jednakowych kapotach z czarnej, domowej roboty haliny, wszyscy w butach, nie chodakach, bo żaden herbowy pod

infamią nie wystąpi w postołach. Nakrycie głowy było rozmaite, a uzbrojenie wcale dobre. Każdy przedstawił mi się jako Ilnicki z odrębnym przydomkiem. Niestety jeden mi tylko pozostał w pamięci, zwał się Mikołaj Ilnicki Kuryj recte Kołodczak, mały, w konfederatce na głowie, czupurny, z głosem piejąco chrypliwym, od czego dano mu przydomek czyli imionisko. Był on dzielnym myśliwym, a prefekt oddał mu w opiekę dwoje kudłatych węgierskich gończaków, którymi miał podłożyć w miocie zwanym „Krywula“. Na owem polowaniu objawił p. prefekt, mimo sędziwego wieku, wielką energię, ruchliwość i znajomość obyczajów zwierząt. Rozstawił szlachtę, mnie na najlepszem stanowisku, na krzyżowych ścieżkach wiodących środkiem olszynowych zarośli i młodej, niskiej, a przez bydło i owce pogryzionej buczyny. Zadął prefekt w trąbkę, którą przedtem przepłukał wodą potoka. Psy były dobre, pora ranna, szron jeszcze nie stopniał, więc zając znaczył swe tropy. Zagrały pieski żwawo goniąc starego kopyrę, który nie okładał, lecz prosto walił na nas, ale jeszcze kot i psy były daleko, gdy padł strzał. To zbudzony ze snu lisiura skradał się ku norom i padł od celnego strzału jednego ze szlachty. Psy zbliżyły się do nas i zając spotkanie się ze mną opłacił śmiercią. Ubito w ogóle 5 zajęcy i 1 lisa.

Gdyśmy wrócili do domu Kuryj jak młyn terkotał wysławiając swoje cnoty i przygody myśliwskie, a drażniąca oppozycya sąsiadów tylko w większy wprawiała go ferwor. Zasiedliśmy do obiadu, który trybem szlacheckim poczynał się od barszczu, a kończył na schabie ze śliwkami. Podczas pogadanki studyowałem ową zagonową szlachtę. Górował nad nimi prefekt, oni zchłopieli prawie, język był mięszaniną polskich i ruskich wyrazów, obyczaje grube, szorstkość widoczna, ale myśliwymi byli w całem znaczeniu tego słowa. W opowiadaniu ich wszakże nic mnie nie uderzyło oryginalnego, nowego. Prefekt wyższością swoją pod każdym względem imponował. Dar opowiadania miał znakomity, toż słuchałem go z wytężeniem i notowałem w pamięci przysłowia i przypowieści polskie, które sypał obficie. Po odejściu sąsiadów oprowadzał mnie prefekt po swem gospodarstwie. Jakżeż to wszystko było typowe, a przytem ład i porządek wzorowe. Ośm wołów pół-węgierskiej rasy tak zwanych sejków stało przy jasłach pełnych pasznistej owsianki, krów było kilka, koni para do wyjazdu lub bron, dwoje źrebiąt, cieląt kilkoro. Sad duży starannie ogrodzony. „To nie moje — rzekł starzec — to Michasia, gdy jeszcze parę lat poduczy się u OO. Bazylianów w Ławrowie, osiądzie na rodzinnym zagonie i zamknie mi oczy. Nie wielkie to gospodarstwo, ale zasobne i żyć na niem można swobodnie choćby Bóg dał liczną rodzinę. Jest chleba dosyć i grosz wpłynie z niego, jakoteż z dochowanego bydła i skór lisich, wilczych, a nawet niedźwiedzich. Przeszłej zimy ubiłem przed psami 6 lisów, w żelaza ułowiłem 4 kuny kamionki, a na zasiadce położyłem 3 wilki, a wie pan, jakim sposobem — oto gdy spadną śniegi zwykle obfite w naszych górach, zamykam podczas nocy księżycowej strzyżaka (roczne jagnię) w pasiece. Wilki nie mając żeru podchodzą pod mieszkania ludzkie, a słysząc bek jagnięcia idą na wab. Łatwo przesadzają przez płot, a ja wtedy z ukrycia palę w łeb. Za skóry wziąłem 60 papierków, zwierzyną się żywię i w tej chwili mam w zapasie dwa dziki, mam więc mięsa i słoniny na rok cały. Las mamy wspólny, zwierzyny w nim gęsto, bo odkąd jestem prefektem, hamuję samowolne wycieczki szlachty. Wiernie przestrzegam: „od św. Katarzyny (13. Lutego), nie prześladuj zwierzyny“, ale drapieżniki wilki, rysie i inne bijemy przez cały rok. Na rochmanną zwierzynę polujemy od św. Michała (29. Września). Przestępca płaci karę na cerkiew. Były zrazu krzyki i sarkania na takie zarządzenia, ale z czasem one ucichły, a dziś szlachta widząc korzyści, sama strzeże porządku. Żadnych samołówek, nawet na lisy, wilki i niedźwiedzie, stawiać nie wolno, aby się nie schwytały sarna lub jeleń. Żaden z szlachty sam nie poluje, najmniej we czterech, w tym względzie najwięcej dawniej broił Kuryj, polował dzień i noc, płacił grzywnę, a polował, a gdym mu w porozumieniu z sąsiadami zagroził kilimkiem, zaprzestał i zapłonął zemstą ku mnie. Z czasem ułagodził się, a dziś razem polujemy. Wszyscy mnie szanują i są posłuszni, bo wiedzą, żem ja stróż ich dobra i klejnotu szlacheckiego, którego dokument z oryginalnym podpisem króla Stefana Batorego przechowany w żelaznej skrzyni przy mojem łożu. Chciałem ja już nieraz pozbyć się tego prefektowstwa, ale zahukała mnie szlachta: „A toć panie Michale prefektują nam od dziada Skorysze Ilniccy dożywotnio, to i wy nas nie opuszczajcie. Szlachta ma żyłkę łowiecką i pieniacką, groźbą, prośbą, dykteryjkami udaje mi się niejedną drażliwą załagodzić sprawę. Co do myśliwstwa nieraz im powtarzam:

Nie rusz kota, boć sromota, niech siedzi pod miedzą,
A jak błyśnie święty Michał, choćby nie wiem gdzie się wpychał,
To się o nim zwiedzą
A jak zwiedzą, to to miedzą utną mu kuranta,
Chyba że kpy na rusznice, nie myśliwi tylko fryce
Napadną na franta.
Tak niech lepiej tam się krzepi jak może chudzina,
Dopóki go zła w Michała nie zgoni godzina.

lub ruskie:

Wże Kazydoroha*) wid Hospoda Boha
Prykaz, szczo wid nyni pokiń weś zwiryni“.

Nazajutrz serdecznie podziękowawszy prefektowi za gościnne przyjęcie i miłe chwile przepędzone u niego wróciłem do domu. Przy pożegnaniu spłakał się stary a i mnie było nie wesoło. Wszelkie pożegnania są dla mnie nader przykre. Słusznie powiedział hr. Leopold Starzeński:

Niech mu kolką w boku stanie,
Kto wymyślił pożegnanie.

W ganeczku staroświeckiego dworku zanuciłem staroruską pieśń:

Dajże Boże dobryj czas,
Jak u ludy, tak i u nas,
I szczasływu hodynu
Na ciłuju rodynu.

Porzuciłem podobno na zawsze samborskie góry. Prefekt umarł w r. 1877. mając lat 82.

Oto słów kilka o łowiectwie dawnem i teraźniejszem, przebacz czytelniku, jeśliś nie znalazł, czego szukałeś, jam spełnił moje zadanie wedle sił.

*) Kazydoroha zwał się u dawnych rusinów miesiąc Luty, którego pierwszy dzień przypadał na 13go św. Katarzyny.

KORESPONDENCYE.

Dobromirka d. 5. Kwietnia 1886.

W kronice ostatniego numeru „Łowca“ czytamy na wstępie ogłoszenie urzędowe, że Wydział gal. Tow. łow. wziął pod ścisłą rozwagę sprawę wniosku posła Abrahamowicza, dotyczącą wprowadzenia kart myśliwskich i opłaty od psów łowczych; dalej dowiadujemy się o zapadłej uchwale następującej treści: „Wydział w zasadzie popiera ustawę wprowadzającą karty myśliwskie, ale przeciwny wysokości opłaty“, w końcu dowiadujemy się, że sprawę tę ma ostatecznie rozstrzygnąć Walne Zgromadzenie. Skoro więc Wydział gal. Tow. łow. dopiero obecnie wziął pod ścisłą rozwagę wniosek posła Abrahamowicza, potwierdził tem domysły ogółu, że nie był inicjatorem tego wniosku, bo byłby go brał poprzednio pod ścisłą rozwagę, więc p. Abrahamowicz działał na własną rękę chcąc się przysłużyć Wydziałowi krajowemu, któremu Sejm z powodu biedy w kraju dalszych dodatków do podatków przyznać nie chciał. Wydział liczył tu na dochód okrągły 60 tysięcy złr. i dla tego tak gorliwie i skwapliwie popierał wniosek. Oburzenie niemal wszystkich w kraju myśliwych było więc słuszne, bo nie chodziło tu o dobro myśliwstwa, ale o podatek, a oburzenie to wywołać musi poseł, jeżeli nie zbadawszy sprawy, bez względu na szkodę, jaką wyrządzić może, występuje w roli c. k. Inspektora podatków.

Obecnie rozstrzygnięto sprawę w ten sposób, że wniosek jest dobry, przyczyni się do podniesienia w kraju zwierzyny, jeżeli opłata będzie niższą. Więc jeżeli nie ośm ale dajmy na to sześć lub pięć zł. zapłacimy od karty, to już żaden kłusownik nie będzie śmiał kraść zwierzyny, ani żaden pies chłopski w polu się nie pokaże, bo ten przywilej zdobył tylko chart za opłatą przypuszczam 5 złr. Nie wiem jak tam komu, ale mnie moim prostym rozumem rzecz tak się przedstawia, jakby w razie gdyby mi kradziono zboże z spichrza, chciano złemu zaradzić tym sposobem, iżby mi do mego spichrza urządzono wstęp za biletami płatnymi. „Jeżeli Ty jakoteż każdy przez Ciebie uprawniony, bez płatnego biletu nie będziesz się mógł w spichlerzu pokazać, to nie będą Ci zboża kradli“ — ba! ale złodziej nie wchodzi drzwiami tylko oknem lub otworem zrobionym w ścianie.

W sprawie tej zresztą tyle już podniosło się głosów, że dalsze jej omawianie nuży tylko czytelników, z tych jednakże rozlicznych głosów pochodzących z rozmaitych zakątków kraju naszego, przekonać się można łatwo, że nie jednakowe są stosunki i wymogi myśliwstwa w naszym kraju; że czego innego domaga się myśliwstwo w górach, czego innego w zachodniej Galicyi, a czego innego u nas na wschodzie. Nie dziw naprzykład, że myśliwi z zachodniej części kraju nie lubią charta i uważają go za szkodnika; mając pola gęsto poprzerzynane laskami, łąkami i wszędzie obsiane zagony chłopskie, widzą, iż łatwo zając uciec może przed chartem, więc polując nie ma prawie żadnej korzyści lecz przeciwnie wyrządza się szkodę. Ale cóż na przykład panom tym szkodzić może to, że my tu w wschodniej części kraju polujemy z chartami lub z innymi łowczymi psami n. p. z beaglami. Czy podobieństwem jest zbiedz piechotą ze strzelbą ośm do dziesięciu tysięcy morgów gruntów włościańskich, na których się dzierżawi polowanie? U nas chłop prowadzi gospodarstwo trzypolowe, a grunta jego nie są skomasowane, więc jeżeli gmina ma około dwóch tysięcy morgów obszaru, to w późnej jesieni leży około siedmiuset morgów odłogiem w jednym kawałku, drugich siedmset jest zoranych pod zasiew wiosenny, więc ma się już 1400 mrg., na których można polować bez żadnej szkody dla gospodarstwa rolnego, a jeżeli do tych pól przytyka ugor lub rola dworska, albo też sąsiedniej gminy, której polowanie również się dzierżawi, więc przestrzeń się podwaja lub zwiększa w trójnasób. Zając dziś jeszcze u nas stosunkowo rzadki, pytam się, czy jest inny sposób opolowania tych obszarów, jak psami i czy by się opłaciło urządzać kolosalne obławy, męcząc aż do znużenia zaproszonych gości dla kilku szaraków?

Otóż o ile różne są stosunki nasze myśliwskie w kraju, o tyle trudniej stworzyć ustawę ogólnie obowiązującą, któraby odpowiadała wszelkim wymogom naszego myśliwstwa i zadowoliła ogół. Zdaje mi się, że ogół naszych myśliwych dziś jeszcze zachęcać potrzebujemy do zajęcia się tą ważną gałęzią gospodarstwa krajowego a nie zniechęcać go nakładaniem ciężarów.

Przytoczenie, że w Austryi niższej zaprowadzono karty myśliwskie w r. 1880., w Morawii w r. 1882 i t. d. nie jest żadnym dowodem, bo wobec tego trzebaby zestawić tabelę porównawczą porównując stan zwierzyny w tych krajach wtedy, kiedy tam karty zaprowadzano, z naszym stanem obecnym. Tam myśliwy z pewnością dostatecznie bywa wynagrodzony za koszta i trudy, mając z polowania i znaczny dochód i wielką przyjemność; u nas owoców naszych zabiegów jeszcze nie widać, łowiectwo wymaga jeszcze ofiar, więc nie utrudniajmy rozwoju i nie odstręczajmy ogółu, który się coraz więcej sprawą zajmuje i do niej się garnie.

Musimy postawić sobie pytanie jasno, czy idzie nam o stworzenie nowej gałęzi bogactwa krajowego, o utworzenie nowego źródła dochodu, pomijając już strony przyjemności łowieckiej, czy też idzie nam o pomnożenie rocznych dochodów Wydziału krajowego? Spodziewam się, że Wydziałowi Tow. łow. idzie tylko o to pierwsze, otóż jeżeli łowiectwo w kraju ma się rozwijać i potrzebną jest pewna reorganizacya takowego, to w pierwszym rzędzie zreorganizować się musi nasze Towarzystwo łowieckie. Śmiem twierdzić, że Towarzystwo w obecnym swym ustroju nie ma dostatecznej łączności z krajem, liczni członkowie tegoż nie są członkami w ścisłem tegoż słowa znaczeniu, ale są to prenumeratorowie „Łowca“. Mile się czyta to pismo, tak jakby się prowadziło gawędę z sąsiadami po polowaniu wieczorem przy kominku; przytem zawsze znajdzie się zdrowe ziarno nauki z dziedziny przyrody i łowiectwa, więc każdy chętnie je prenumeruje zyskując przytem tytuł członka towarzystwa łowieckiego *in partibus infidelium.* Wprawdzie zbić można moje twierdzenie argumentem, że przecież każdemu członkowi na posiedzenie Walnego Zgromadzenia przybyć wolno, gdzie może głos zabrać, przyznaję z góry słuszność, ale czy klasa średnia naszego ziemiaństwa może bez szkody kieszeni i gospodarstwa, którem się zajmuje, wojażować i czy myśliwstwo w kraju już tak poważne zajęło miejsce, aby dla niego poświęcać czas i pieniądze? Z tego wynika, że na ogólnych zebraniach występuje mniej lub więcej liczne grono tych samych zawsze osób, którym fortuna darów swoich nie szczędziła, którzy na sprawy łowiectwa w kraju zapatrują się ze stanowiska wyjątkowego, którzy są przekonani, że zwierzostan w kraju tak się podnosi jak w ich dobrach dobrze zorganizowanych i zarządzanych z pewnym nakładem, przez ludzi fachowo wykształconych. W kraju rzecz ma się inaczej a chcąc dla tegoż stworzyć nową gałęź bogactwa w zwierzo-

stanie, trzeba mieć bezpośrednią styczność z ogółem ziemiaństwa, by go zachęcić i pouczyć. Do tego nie dojdziemy nigdy, jeżeli całą czynność Towarzystwa łow. koncentrować będziemy we Lwowie; aby się z ogółem ziemian zetknąć, trzeba część pracy przenieść na prowincyę, tworząc na wzór Tow. rolniczego oddziały po powiatach, lub też zawiązując stosunki z już istniejącymi oddziałami Tow. rolniczego. Przecież celem Tow. rolniczego jest zajmować się każdą gałęzią gospodarstwa wiejskiego, do czego zaliczam rybołowstwo i myśliwstwo. Gdyby Tow. łowieckie porozumiało się z oddziałami Tow. rolniczego i w ważnych sprawach zasięgało ich zdania, to oddziały rolnicze uznałyby się również jako oddziały Tow. łowieckiego przybierając do grona swego ludzi w myśliwstwie fachowych a w obrębie oddziału zamieszkałych. Towarzystwo łowieckie przed zaprowadzeniem ważnych zmian mogłoby łatwo wysondować opinię całego kraju, oraz powziąć dokładne wiadomości o stanie łowiectwa. Walne Zgromadzenia byłyby rzeczywiście ogólnemi zgromadzeniami myśliwych z całego kraju, gdyby oddziały Towarzystwa łowieckiego wysyłały na takowe swych delegatów i gdyby Towarzystwo łow. zechciało swe posiedzenia odbywać w czasie zebrań Tow. kred. ziemsk. i Tow. gospodarskiego. Dziś jeżeli się ktoś nowy zjawi na posiedzeniu Tow. łowieckiego, to znalazł się tam przypadkowo, bo do Lwowa zapędził go interes inny, a na posiedzenie przyszedł przez ciekawość, nie przygotowany ani obeznany z tokiem spraw roztrząsać się mających. Całkiem inna rzecz, jeżeli zjadą się ludzie obeznani z tokiem rozpraw, z wnioskami już poprzednio na posiedzeniach oddziałów przedyskutowanymi, jest wtedy pewna rękojmia, że każdy uchwalony wniosek ma na celu pożytek ogółu a nie jest wynikiem chwilowego kaprysu lub celem zmonopolizowania polowań w ręku kilkunastu możnych. A jakie się tu otwiera pole działania dla oddziałów prowincyonalnych, które to pole do dziś leży zupełnie odłogiem. Weźmy tylko sprawę wydzierżawiania polowań gminnych. Obecnie gmina wie tylko, że członkom jej polować jawnie nie wolno, czyni to więc ukradkiem; Starostwo wydzierżawia polowanie bez współudziału gminy a tych kilka uzyskanych guldenów jej odsyła. Wydzierżawione prawo polowania rzeczywiście więcej nie warte nad tych kilka złotych, których przychodu kasa gminna nie odczuwa. Pytam się, czy taki kontrakt najmu powinien się zawierać jednostronnie, czy umowę nie powinny zawrzeć strony obie w obecności i za pośrednictwem odpowiedniej władzy, czy gmina nie powinna brać na siebie obowiązku pilnowania, aby wynajmujący nie ponosił szkody od członków tejże gminy? Gdyby przy licytacyi polowań był obecnym delegat odnośnego oddziału Tow. łow. i gdyby gminy pouczał, że jeżeli strzedz będą zwierzynę od psów samopas chodzących, od psoty pastuszków, którzy niszczą wszystko co im pod rękę wpadnie, to zwierzostan się podniesie a tem samem podniesie się dochód gminy, bo za polowanie otrzymają znaczniejszą tenutę. Gdyby oddziałom Tow. łow. udało się choć w kilku gminach swojego rejonu polepszyć stan zwierzyny a gdyby wskutek tego tenuta za najem polowania uzyskana choć w części przyczyniła się do zmniejszenia dodatków na potrzeby gminne wybieranych, to gminy spostrzegłszy korzyść materyalną, sameby zwierzynę strzegły, upatrując w takowej źródło swych dochodów. Któż lepiej ustrzeże chłopa kłusownika, jak sąsiad chłop, wie on o każdej jego wycieczce a milczy, bo mu to obojętne, ale skoro przyjdzie do przekonania, że kłusownik robi uszczerbek w dochodach gminy a więc względnie i w jego kieszeni, to z pewnością wójta powiadomi zaraz a wójt w wymiarze kary nie będzie oszczędny.

Wiadomo, że oddziały Tow. rolniczego opinjują w sprawach korczunków, które w ich obrębach właściciele lasów przeprowadzić zamierzają, otóż oddziały Tow. roln. badają sprawę tę sumiennie tak ze względów klimatycznych jakoteż gospodarstwa krajowego, a wątpię czy który oddział bada rzecz ze stanowiska łowiectwa uważając zwierzynę za bogactwo krajowe. Sądzę, że już czas całej tej gałęzi dochodu z ziemi nadać kierunek poważniejszy. W sprawozdaniach „Łowca“ czytujemy zwykle, że ubito tyle a tyle zwierzyny, co zawdzięczać należy właścicielowi polowania, który zwierzynę karmił i któremu oprócz za miłą zabawę należy się podzięka za sute przyjęcie. Gościnne przyjęcie u nas uświęcone tradycyą, tak samo praktykuje się w pałacach jak i w dworach a czem chata bogata tem rada, więc nie ma się co o takowem rozpisywać w piśmie fachowem. Nikt jednakże do tej pory nie wykazał, ile kosztowało podawanie karmy zwierzynie, o ile przez to wzmógł się zwierzostan i ile właściciel polowania zyskał na tem dochodu; aż pierwsza tego rodzaju korespondencya pojawiła się z Bilcza, w której wykazano zupełnie przedmiotowo, ile utrzymanie zwierzyny kosztowało, ile wynosił dochód z zabitej i ile było czystego na tem zysku. Korespondencya ta więcej może wpłynąć na zachęcenie ogółu do pielęgnowania zwierzyny niż wiele innych; bo naprzód wykazała, że racyonalne prowadzenie łowiectwa przynieść może dochody, powtóre korespondent przyznał się jawnie, że zwierzynę sprzedano. Jest to rzecz ważna, bo u nas zwyczaj sprzedawania zwierzyny nie może jakoś pozyskać prawa obywatelstwa, zwykle dający polowanie dzieli się zdobyczą z gośćmi, będąc za kilka dni sam gościem u sąsiada znów dostaje część zdobyczy myśliwskiej i t. d. a choć przez to śpiżarnia obfituje w zbytek zwierzyny, to jak takową spieniężyć, kiedy się ją dostało od sąsiada X i Y, rozdawszy poprzednio własną. Ztąd karmienie zwierzyny koniczyną i owsem uważa się za zbytek dozwolony wielkim panom, bo koniczyna i owies przyda się dla bydła i koni, a polowanie to przecież zabawa.

Inne pojęcia zaszczepić można tylko przykładem i żywem słowem przez zetknięcie się osobiste; pismo fachowe może oddać bardzo znaczne usługi a „Łowiec“ już je niezaprzeczenie oddał; działanie jego jest jednakże niedostatecznem choćby z tego względu, że na gminy nie wywiera on żadnego wpływu. Jeżeli przytem macie Panowie na celu reorganizacyę naszego myśliwstwa za pomocą nowej ustawy i jeżeli to uczynić zamierzacie imieniem ogółu myśliwych, to starajcie się naprzód wejść z tym ogółem w stosunki a tem samem stać się jego prawdziwymi rzecznikami. Trudno wymagać, aby się ten ogół około Was skupiał, przeciwnie staraniem Towarzystwa być powinno rozprzestrzeniać się i istnieć w każdym zakątku kraju naszego. Droga zresztą utarta, bo każdy oddział Towarzystwa rolniczego podejmie się chętnie pielęgnowania działu myśliwstwa, wejdzie z towarzystwem w stosunki i wysyłać będzie swych delegatów na walne zebranie. Dzisiejsi tak zwani delegaci Towarzystwa łowieckiego po powiatach ustanowieni, nie mają żadnego przed sobą pola działania, więc nie odwołujcie się na takowych i nie wskazujcie na nich jako na łącznik Towarzystwa z ogółem myśliwych. Reformy zaś ważne zachowajcie aż do chwili, kiedy na walnem zebraniu kraj cały wypowie swe zdanie poważnie przez usta swych wybranych.

Stanisław Kierski.

Zatracony przed paru miesiącami gdzieś w okolicach jezuickiego ogrodu i w labiryntach wspaniałego gmachu pakiet z bardzo cennego gatunku towarami, pomiędzy którymi były

takiej u nas rzadkości artykuły jak: zdrowy sens, sprawiedliwość, poszanowanie własności i t. p., odnalazł się nareszcie, niestety kto wie czy nie za późno, pomiędzy szerszą galicyjską publiką. Ze wszystkich stron kraju, z nietajonem wcale ani publicznie ani prywatnie oburzeniem, orzeczono o sławnym projekcie opłaty kart myśliwskich w tak dosadny sposób, że pan wnioskodawca powinien by stracić wszelkie illuzye i wiarę, jeżeli miał jakie, w błogie skutki swych pomysłów. Jako jeden z najpierwszych, którzy do odnalezienia pakietu z tak drogimi kolonialnymi towarami panu wnioskodawcy dopomogli, ośmielam się upomnieć u tego ostatniego o znaleźne, które sowicie mi wynagrodzi zrzekając się raz na zawsze dalszych experymentów na polu ekonomiczno-fiskalno-przyrodniczo socyalnem tak dla niego niewdzięcznem.

Z ogólnego chóru protestów i potępienia wyróżnić się chciał szanowny pan „R.“, który w numerze 4. „Łowca“ z roku b. w korespondencyi artystyczno-statystycznej zapragnął nam udowodnić błogi wpływ i błogie skutki ośmiozłotówek na ciężarność siut i zajęczyc jak również i na śmiertelność zwierzyny.

Oddając hołd odwadze cywilnej, jaką pan R. okazał występując w obronie sprawy, z oburzeniem przez publikę potępionej, zastrzedz się muszę przeciw sposobowi, w jaki się ona zamanifestowała. Jestem zdania, że tam, gdzie nie idzie o zdanie sprawy z ilości ubitej zwierzyny lub przebiegu odbytego polowania, lecz o kwestyę ogół obchodzącą, powinien był pan R. aczkolwiek błędne ale swoje własne na nią zapatrywania, poręczyć nie jedną tylko literą lecz całem nazwiskiem, a to tem więcej, że w swej polemicznej korespondencyi raczył wmięszać nazwiska swych przeciwników, któreśmy bez osłony inicyału dostarczyli i któremiśmy jak niżej podpisany, Wny Krzysztofowicz, Piasecki i inni, nasze teze podtrzymywali. W zapale obrony swojej własnej (tezy), pan R. ani się spostrzegł, iż użył argumentów, którymi dotknął osobiście swoich przeciwników a szczególniej mnie, którego nazwisko w odnośnym ustępie do tegoż zastosował. Twierdzić, że p. J. inaczej by się na kwestyę opłaty kart myśliwskich zapatrywał i uznał by ich słuszność, gdyby sąsiadował z którem z większych miast jak Tarnów, Przemyśl etc., a z nim naturalnie wszyscy dzisiejsi tych kart przeciwnicy, jest to nie tylko temuż panu J. poszczególnie zarzucać sobkostwo, ale nadto wydać bardzo śmiałe orzeczenie, że już nikt nie jest zdolny zapatrywać się na każdą sprawę inaczej, jak tylko ze stanowiska swoich własnych korzyści i interesów, ze stanowiska prywaty, tej ostatniej poświęcając dobro ogółu, sprawiedliwość i zasady. Że tak się dzieje niestety bardzo często u nas, że wraz z handlem, przemysłem, bankami, Rotszyldami i ich pejsatymi towarzyszami, wraz z panem Zolą, wielka część naszego społeczeństwa straciła poczucie i pojęcie prawdy, piękna, sprawiedliwości, a najwięcej poczucia ofiarności i solidarności, to jest powszechnie wiadome. By jednak ogół ogarnięty był takim duchem sobkostwa, o jaki go szan. pan R. bezwiednie nawet posądza, by nawet w kwestyi stosunkowo podrzędnej kart myśliwskich, zaprzepaścił tę resztę poczucia słuszności i logiki, jaka mu została i miał się na nią zapatrywać stosownie do tego, czy jest więcej czy mniej od większych miast oddalonym, temu zupełnie zaprzeczyć muszę co do siebie samego, zastrzegając się najsolenniej przeciwko przywarze, jaką mi pan R. chcący czy nie chcący podsuwa. Mogę pana R. upewnić słowem, że gdybym rzeczywiście znajdował się nawet w tak niemiłem jak on przypuszcza położeniu, narażony na największe szkody w zwierzynie z powodu sąsiedztwa wielkich lub większych miast, jeszcze poczucie sprawiedliwości i logika ochroniłyby mnie od popierania prawa ogół krzywdzącego, prawo własności znoszącego, a nieznośnemu jak powiada pan R. położeniu żadnej ulgi nie przynoszącego. Gdybym się w położeniu, o jakim p. R. wspomina, znajdował, jeszczeby ono nie wyrobiło we mnie przekonania, iż słuszną i sprawiedliwą jest rzeczą, by dla ochrony moich zajęcy od dubeltówek amatorów miastowych, by dla mnie jednego a choćby 20tu okolicznych właścicieli polowania, ogół miał płacić najniesłuszniejszy podatek, bym uznał wobec istniejącego niby to jeszcze prawa o „nieograniczonej własności“, iż słusznem i sprawiedliwem jest, bym ja od kogoś na zabicie mojego własnego zająca prosić miał pozwolenia i takowe opłacać. Mam również niepłonną nadzieję, że aczkolwiek pan R. ma poniekąd słuszność, jak to dowiodę niżej, podejrzywając w nas tę dozę egoizmu, którąby właścicielom polowania w sąsiedztwie większych miast żyjących, za opłatą kart myśliwskich wotować kazała, mam mówię nadzieję, że i tak na stu właścicieli takich, 95ciu jeszcze by się przeciw temu podatkowi oświadczyło i odrzuciłoby środek, który oprócz cynicznego krzywdzenia ogółu, burzenia prawa własności, jakie jeszcze istnieje, nie tylko nie zapobiega, jak to w nas chcą wmówić pan Abrahamowicz i pan R., pladze kłusownictwa, użytej tu za stracha na wróble, ale raczej na rozwój tej plagi, jak deszcz i ciepło wiosenne na porost kapusty działać nie omieszka. Praktyczni myśliwi i właściciele polowania a nie dyletanci, którzy tak wzięli w opiekę gospodarstwo krajowe, wiedzą dobrze, że na stu kłusowników nie ma nawet kilku, którzyby do niszczenia zwierzyny używali tak hałaśliwego i tak niebezpiecznego dla nich narzędzia jak strzelba i że wszystka prawie przez kłusownika tępiona zwierzyna ginie od samołówek, sideł, drutów, paści i t. p., których pan wnioskodawca orlim swoim wzrokiem dostrzedz wcale nie raczył. Powyżej, oddałem panu R. w pewnej mierze słuszność w podejrzywaniu nas o egoizm. Rzeczywiście choćby tylko patrząc na sposób obrony ich sprawy przez szanownych przeciwników wniosku pana Abr., możnaby zeń powziąć przekonanie, że od tej wady wolni nie jesteśmy. Żaden z panów oponentów opłaty kart myśliwskich nie traktował tej sprawy i nie bronił swej tezy z szerszego punktu zasad sprawiedliwości, prawa własności, pokrzywdzenia ogółu i t. p. lecz starał się to zwierzątko zaciągnąć na swoją własną obórkę, tak co do opłaty kart myśliwskich od strzelby jak i co do opłaty od psów. I tak polujący z chartami, bronił tych długonosych, zwalając całą winę na ogary, jakiś pan w górach sanockich zamieszkały, bronił swojej prowincyjki od opłaty za strzelby, dowodząc w długim artykule „Gazety narod.“, że jeżeli, to już doliny niech płacą, bo góry nie mogą. Ktoś znów bronił beaglów, w zajmującym opisie przedstawiając nam urocze z nimi polowanie. Wszyscy zapomnieli o bardzo prostej rzeczy to jest, że w zasadzie tak opłata od beaglów jak i chartów lub innego gatunku psów, jakoteż opłata od strzelby jest niesprawiedliwą, krzywdzącą, nie mającą racyi bytu a mogącą ją mieć tylko zupełnie gdzieindziej niż tam, gdzie nam to było przedstawione urzędownie, a mianowicie w chęci wytrzęsienia z naszych kieszeń owych resztek centów, jakie jeszcze gdzie pozostały, mogących służyć na zakupienie świeżych jaj dla gardzieli wydobywających z siebie „wysokie C“, których protektorowie naszym kosztem postanowili je odświeżać.

Nie od małego to już czasu dwie miary i wagi zapanowały w prawodawstwie Europy i z tego głównie powodu urządziła ona sobie tak świetnie interesa, jak tego obecnie jesteśmy świadkami. Pomijając różnonarodowościowych monarchistów, kujących prawa przeciw republikanom i tych ostatnich gnio-

funduszowego wynoszą, zabito w r. 1884. jeleni 14, kozłów 65, zajęcy 615, lisów 59, słonek 30, jarząbków 95, dzików 8, wilków 28(!) rysiów 5(!). Powyższe 3 ½ czwartego zarządu zostały jak wyżej powiedziałem hr. Erbach-Erbach za czynsz roczny 1400 zł. wydzierżawione, przedtem dzierżawił je ks. Rohan. Hrabia przyjeżdża tylko na rykowiska i zabija w przecięciu rocznie 10 jeleni. Obliczywszy koszta utrzymania służby nadzorczej, jest jeden łowczy z pensyą 1000 zł., 4 strzelców po 500, 600 zł. i 8 gajowych po 200 i 250 zł. rocznie, hodowania, opłaty szkód wyrządzanych przez jelenie, amortazacyi kapitału użytego na budowle, wypada iż, gdy hrabia tylko rogi przez siebie zabitych jeleni sobie zabiera, para rogów około 800 do 1000 zł. kosztuje. Rozrywka, którą sobie nie wszyscy śmiertelnicy w dzisiejszych błogich czasach pozwolić mogą. Wszelką inną zwierzynę oddaje swemu łowczemu, i c. k. zarządcom w tych rewirach, które im są podwładne, w zarządzie S. padło tego roku 149 jarząbków. Dokładnych cyfr wszystkiej ubitej zwierzyny podać nie mogę z wyjątkiem zarządu S., w którym padło 27 zajęcy, 9 kozłów, 5 jeleni, 149 jarząbków, 5 głuszców, 3 cietrzewie, 4 kuny, 7 lisów, 2 niedźwiedzie, 1 wydra. W ogóle w lasach przez hr. Erbach-Erbach wydzierżawionych, jest najładniejszy stan jeleni. Wedle przybliżających obliczeń było na rykowisku w ubiegłym roku 30 sztuk kapitalnych jeleni, 80 słabszych (Grashirsche); hrabia sam ubił 12 jeleni, pomiędzy nimi jednego kapitalnego ośmnastaka, panujący książę Hessen-Darmstadt 3 jelenie. Wskutek ochrony łań rozmnożyły się te ostatnie znacznie tak, iż musiano wybić 12 starych łań (Galtthiere), one bowiem prowadząc rudel, znaczne szkody wyrządzały po polach i łąkach wsi Putny*) Na jednem z polowań, na którem uczestniczyłem, było w miocie 18 sztuk jeleni, między nimi 4 rogacze. Obecnie wyrządzają wilki znaczne szkody pośród jeleni, u hr. Erbacha znaleziono dotychczas 12 sztuk przez wilki i rysie zagryzionych. W Solce spędzono jelenia do zrębu pośród robotników, jeleń był tak zgoniony, iż dał ze sobą wszystko zrobić i dopiero po dobrych dwóch godzinach odpoczynku ruszył napowrót do lasu. Jeszcze przed paru laty najpiękniejsze polowania na jelenie były w c. k. zarządzie Hardeggthal, nazwanym od hr. Hardegg, który polowanie tu dzierżawił i ładny myśliwski zameczek zbudował. Lasy śliczne, równina, w lasach przerębv do zasadzek; dzisiaj prawie ani znaku z dawnych łowów. Jelenie niepokojone zwiększoną manipulacyą w lasach, cofnęły się w góry a pozostała tylko sława. Dawniej rudle po 20, 30 sztuk nie były rzadkością.

W dobrach funduszowych są przeważnie górskie polowania, prócz jeleni, są sarny, lecz nie wiele, zające, jarząbki, głuszce, cietrzewie; dziki dość rzadko, więcej ku Rumunii, gdzie się dębowe lasy znajdują. Niedźwiedź w górach obok Jaworu, Szypotu, Kirlibaby. Około Czerniowiec są natomiast ładne polne polowania; 18. Grudnia roku ubiegłego ubito na polowaniu w Kocmaniu w jednym dniu 176 zajęcy, 11 lisów i 2 kozły.

O ochronie zwierzyny, o wpływie, jaki władze z mocy swego urzędu zdziałaćby mogły, nie wiele można powiedzieć. W dobrach funduszowych, które przez państwo zarządzane bywają, pilnują zwierzynę przed kłusownikami W górach prawie każdy chłop, Rumun czy Hucuł, posiada strzelbę. Właściwie trudno ten instrument, który strzał daje, strzelbą nazwać; myśmy przyzwyczajeni mieć o strzelbie inne wyobrażenie, nie takie, jakiego na widok tutejszych strzałodajnych instrumentów nabyć można. Miałem sposobność przyglądnąć się z bliska tym pseudo-strzelbom, i prawie we wszystkich zaledwie parę części znaleść mogłem, które z tej samej fabryki wyszły, zresztą łatanina domorosłych i niedomorosłych fabrykantów, powiązywana szpagatami i drutami, że aż strach brał, gdy się pomyślało, iż ten fabrykat ma dać ognia. Niektóre należałyby bezsprzecznie do jakiego archeologicznego zbioru, nawet z lejkowatem ujęciem lufy zdybać można strzelby. Widziałem strzelby, w których na dawny sposób łoże nie opiera się o ramię. I z takimi prawdziwie śmiercio- i dla właściciela nośnymi przyrządami polują. Ale jak polują? Oto idąc w ślad za wyśledzonym jeleniem lub sarną. Proszę więc sobie wyobrazić, ile wytrwałości i jak sporą porcyę namiętności myśliwskiej posiadać potrzeba, żeby w jesieni, kiedy każdy krok po zeschłych liściach, każde nawet ledziutkie złamanie gałęzi uważnem robi zwierzynę, dojść do celu!

Spotkania straży myśliwskiej z kłusownikami należą do rzadszych wypadków, częściej przytrafia się to na granicy ku Rumunii. Przed 3 laty w Wamie, zdybała się straż myśliwska z kłusownikami w liczbie 12tu; nastąpiła formalna bitwa, aż gdy jednego z kłusowników na miejscu zastrzelono (nazywał się Tomaszczuk — w Wamie mieszka wiele Rusinów, osobliwie w Russ Moldawitza i wiele familij nosi nazwisko Tomaszczuków), inni uznali za zbawienniejsze zmyknąć. W Grudniu złowiono tutaj 3 kłusowników przy zabitej łani.

Z chorób tego roku mam do zaznaczenia chorobę wątroby u zajęcy, która je osobliwie na podgórzu silnie zdziesiątkowała.

Kończąc mój list, muszę jeszcze nadmienić, iż tutejsi myśliwi rozróżniają pomiędzy jeleniami dwa gatunki a to: krótkie i krępe o ciemniejszej barwie, większych i rozroślejszych rogach, jakoteż większej dziczyzny, i długie o jaśniejszej barwie, mniejszej dziczyzny i małych rogach. Różnicę tę faktycznie zauważyłem, tak n. p. ósmak krótki, był w dziczyźnie i rogach o wiele silniej wykształcony aniżeli czternastak długi. Wielu z tutejszych myśliwców posiada bardzo ładne rogi; jakieś to inne wrażenie robi, gdy się do pokoju myśliwego wejdzie, w którym naokoło silne rogi jelenie są umocowane, znawca prawdziwie ładne okazy tu znaleść może.

C. Kochanowski.

Mądzielówka 3. Kwietnia.

Czwarty numer „Łowca“ przyniósł korespondencyę z Berezowicy pana Alfreda Garapicha, która gdyby nie zawierała niektórych ustępów może w dobrej wierze napisanych, noszących wszakże wszelkie znamiona roznamiętnionej polemiki, mogłaby zostać z mej strony bez odpowiedzi, bo bym się z jej treścią mógł pogodzić, należałoby tylko zejść ze stanowiska z jakiego się zapatrywałem na wniosek posła Abrahamowicza, a stanąć na osobistem stanowisku, wtedy mógłbym się z panem Garapichem pogodzić. Nie uczyniłem tego, kiedy chodziło o ustawę bo tak subjektywnie spraw ogół obchodzących traktować nie umiem i z tej przyczyny niezawodnie trafia mnie zarzut, że bronię sprawy w sposób może do celu prowadzący, ale ani logiczny ani rycerski. Co powodowało pana Garapicha do podobnego twierdzenia i czy swoją korespondencyę odczytał uważnie poddawszy ją najpierw swej własnej krytyce, zanim ją

*) W miejscowości tej Putna znajduje się klasztor wołoskich zakonników, (Kaługar), wedle podania zbudowany przez słynnego wojewodę wołoskiego Stefana, który jakiś czas w przyległych Putnie lasach się ukrywał, a kiedy schronisko swe miał już opuścić, wypuścił z łuku strzałę, która na to miejsce upadła, gdzie Stefan później klasztor zbudować kazał. Klasztor ów służył także do celów obronnych.

do druku odesłał, niewiem, pozwolę sobie jednak wątpić. Co znaczą wyrazy „logicznie i rycersko“ od których atrybucyi mój sposób bronienia sprawy odsądzonym został, pozwolę sobie tu bliżej określić. W naszym wypadku, gdzie chodzi o sposób argumentowania, a nie o sposób polowania, „logicznie“ znaczy „rozsądnie, celowi odpowiednio“; „rycersko“ znaczy „uczciwie“. Czy logicznie broniłem? rozstrzygnął pan Garapich sam przyznając, że bronię w sposób do celu prowadzący; czy uczciwie? to rzecz inna. Wyraziłem się, że dziwi mnie, dla czego bigle nie zostały opodatkowane, podczas gdy na charty podatek już został uchwalony. Wątpię czy tu kto dopatrzy, że żądam, aby charty były wolne od podatku, a bigle opodatkowane, czyli jak się pan Garapich później wyraża, kosztem jednego polowania bronię drugie. A jeżeli już mamy koniecznie tę sprawę ze stanowiska rycerskiego rozstrzygać, choćby to rycerstwo miało być fiskalne, to mam przeświadczenie, że więcej po rycersku jest opodatkować siebie, jak drugich. Są to może nowsze pojęcia rycerskości, bo starsze wręcz przeciwne po sobie zostawiły wspomnienia. Wyjaśniwszy, jak się zapatrywałem na opodatkowanie chartów, a właściwie, że protestowałem w ogóle przeciw opodatkowaniu myśliwstwa, pozwolę sobie przejść do innego ustępu jego korespondencyi, już więcej rycerskiego, a mniej logicznego. Chodzi tu o to, że muszę mieć słabe wyobrażenie o polowaniu *par-force*, jeżeli żądam, aby bigle były opodatkowane, a charty wolne od podatku (choć tego nigdy nie pisałem), a logika podobna w innym wypadku takby wyglądała: n. p. gdyby chodziło o naftę i świecę, możnaby posądzić każdego, kto wotował za podatkiem na naftę, że musi mieć słabe wyobrażenie o świetle lampy naftowej, a pomimo tego wotowali za tym podatkiem nie ci, co przy łojówkach siadają, a nie wotowali ci, którzy sami naftę kopią. Tyle przecież wiem o tem polowaniu, że zając ucieka pierwszy, za nim biegną pieski, a potem jadą myśliwi, że tempo koni stosuje się do piesków a nie do zwierza, tego, gdybym nawet tylko teoretycznie znał ten turniej rycerski, mógłbym się łatwo domyśleć. Trudniej nierównie byłoby dla mnie pojąć, dlaczego ludzie spokojni i dobrze wychowani jadąc za pieskami, nie robią śladów po niwach wieśniaczych. Fakta, jakie się wydarzyły, dowodzące niezadowolenie chłopów, kazałyby się domyślać, że i dobrze wychowani ludzie robią ślady, a nawet że to dobre wychowanie i spokój stały się atrybucyą panów myśliwych *par-force* dopiero po wyraźnem zamanifestowaniu nieukontentowania ze strony właścicieli niw. Z ręką na sercu mógłbym zaręczyć, że jadąc za chartami niw chłopskich nie wymijam, ale że dojeżdża zawsze tylko jeden myśliwy, a inni je omijają, więc oddając piękne za nadobne zapytałbym pana Garapicha, czy i jego dojeżdżacz za biglami jest tyle skrupulatny, że omija niwy chłopskie i czy sądzi, że bigle króciej idą za zwierzem jak charty? W takim razie polowanie z biglami byłoby znośniejszem dla chłopków, jak polowanie z chartami. Co do owych wybrańców, o których pan Garapich z naciskiem wspomina, a których przerobił na „wybranych“ zmieniając tym sposobem zupełnie znaczenie pojęcia, przezemnie określonego, pozwolę sobie zrobić sprostowanie, że mówiłem o „wybrańcach fortuny“, bo innych nie śmiałbym w tę sprawę mięszać. Nie w ich imieniu powstałem wobec wniosku posła Abrahamowicza, lecz to nie dowodzi jeszcze, jakobym hołdował regule bronienia zasady ze swego tylko stanowiska, tej subjektywności z panem Garapichem nie dzielę. Jeżelibym kiedy miał wstępować w ślady jego, to nie na tem polu, na szerokim stepie, na dobrym i odważnym koniu zapomniawszy o biedzie i troskach, zapomniałbym może i o wniosku posła Abrahamowicza. Tu jednak nie o mnie chodziło, lecz o tych, którzy nie polując z biglami wcale polować nie będą, nie nauczą tej szlachetnej i zdrowej zabawy synów swoich, a tem samem powiększą falangę zniewieściałych. Tej myśli pan Garapich w odezwie mojej niedopatrzył, jak ja nie mogłem w twierdzeniu jego dopatrzyć, że polowanie z biglami nie jest zabawką drogą czyli pańską. Już zawieranie spółek w celu utrzymania psiarni, jeden lub dwa konie wierzchowe nie dowodzą twierdzenia pana Garapicha. „*Errare humanum est*“. Broniłem polowania z chartami i bronić go będę, jako zabawy pięknej i szlachetnej, pomocniczej przy wychowaniu młodego pokolenia zdrowego na ciele i duszy, nie potępiając polowania z biglami, bo względy pedagogiczne zawsze u mnie więcej zaważą, jak zwierzostan kraju, w przeciwnym doń stojący stosunku i z tego to stanowiska w naszych stosunkach najważniejszego się zapatrując, nie zmienię mego przekonania, bo uważam, że tylko dwa motywa wniosek posła Abrahamowicza mogłyby poprzeć, rozmnożenie zwierzostanu, co niezawodnie nastąpi, jak to już wyżej powiedziałem, i opodatkowanie ze względu na zbytkowność tej rozrywki, ale obadwa wobec korzyści, jakie się okazują w wychowaniu młodzieży, ustąpić muszą, bo wątpię, żeby Wysoki Sejm nakładał podatek dla dochodów z niego wynikających, nie wziąwszy pod rozwagę i tych okoliczności. *Józef Krzysztofowicz.*

Łęczyca 7. Marca 1886.

Znającym bliżej Łęczycę z jej okolicami wiadomo, że była kiedyś otoczoną ze wszech stron niedostępnemi błotami i topieliskami, na których wznosiły się lasy przeważnie olszowe. Szczątki tych lasów dzisiaj jeszcze widzieć można na całej długości tak nazwanej „Starej rzeki“. Błota ciągnęły się długimi pasami po obu brzegach rzeki Bzury i nie dalekiego Neru, i za mojej jeszcze pamięci zarosłe były przeróżnemi roślinami błotnemi, trzciną i olszą W dawniejszych więc czasach okolice Łęczycy musiały być znakomitą ostoją dla wilków, o czem świadczą nazwy wiosek, przy wspomnionych błotach położonych, jako to: Wilczkowice, Wilków, Wilczyca. Jednakże Łęczycanie, z pomocą pruskich kulturträgerów wytrzebiwszy lasy, a osnszywszy własnemi już siłami większą część tych błot, robiąc z nich wyborne łąki lub zdatne do uprawy pola, wcześnie wytępili lub wyparli cały rodzaj wilczy z jego odwiecznych legowisk. Dla tego też w Łęczyckiej ziemi było cicho i spokojnie. Przestaliśmy obawiać się wilków, a stada bydła i owiec bez dozoru prawie wypasały się na osuszonych łęgach. Wilki, jak mamuty i inne przedpotowe potwory, przeszły do historyi, lub do opowiastek nianich, a z powodu braku wędrownych menażeryi zapomnieliśmy nawet, jak ów tak kiedyś pospolity u nas drapieżnik wygląda. Ręczę za to, że król pustyń afrykańskich nagle zjawiający się wśród gór galicyjskich, mniejsze by sprawił na Was Bracia w św. Hubercie wrażenie, niż na nas Piskorzy wilk, przechodzący przez błota łęczyckie. A jednak lew pewnie dotąd nie zjawił się jeszcze w Karpatach, gdy tymczasem wilk już podciągnął pod samą Łęczycę! A było to 4. Marca r. b. O godzinie 8. rano wpadł do mnie jak bomba jeden z braci myśliwych blady i drzący, nie wiem czy od strachu czy też z febry myśliwskiej, krzycząc nieludzkim głosem: „Władek ładunków! dubeltówki! wilk!“ Z zimną krwią i uśmiechem pytam: gdzie? Rozdrażniony moim spokojem myśliwiec na razie zapomniał gdzie, pali więc tym samym głosem: „w mieście! — nie, nie, nie! na łęgach za Bredlem!“ Nie miałem wtedy ładunków gotowych, dubeltówka rozebrana i schowana, odpowiadam więc, „nie mam!“ Wyleciał jak

z procy, pobiegł do mego sąsiada, (do własnego mieszkania miał za daleko), schwycił lefoszówkę z dwoma ładunkami, wsiadł z drugim myśliwym na oczekujące nań jednokonne saneczki i sunął szosą ku wsi Tum. Jednocześnie ujrzałem drugie parokonne sanki z innymi dwoma myśliwymi, pędzące jak huragan drogą po nad rzeką, za obiedwiema zaś partyami myśliwych biegła moc ciekawego ludu, troskliwych o bezpieczeństwo miasta strażników ziemskich i z wielkim krzykiem, lecz odważnie z tyłu za drugimi, synów Izraela. Widząc to wszystko i mnie zimna krew opuszczać zaczęła, rozważałem chwilę *pro* i *contra* i już już miałem wybrać się na onego wilka, gdy wtem usłyszałem dwa głuche strzały i ujrzałem powrót do miasta ciekawych. Po upływie może pół godziny wraca mój zajadły wilkotępiciel, pytam więc: „no, i cóż wilk?“ — „Eee, to był pies z obrożą“, miękko odpowiada i z miną wcale nie gęstą, odniósł broń memu sąsiadowi. I rzeczywiście był to pies rasy neufundlandzkiej, widocznie cierpiący jakiś obłęd, gdyż chodził bezustannie w jednem miejscu w kółko, zaznaczywszy na śniegu głębokie ślady, świadczące, że już od kilku godzin używać musiał podobnej agitacyi.

W marcowym numerze „Łowca“, w korespondencyi p Szlezygiera, wyczytałem przypuszczenie, że nazwa „słonka“, pochodzić może od małej ilości tego ptaka. Lecz mnie się zdaje, że termin „słonka“, czy „słomka“ użyty musiał być rychlej, nim u nas osuszono wielkie przestrzenie mokradli i przetrzebiono lasy brzozowe, czyli jeszcze przed zmniejszeniem się ilości słomek. Ponieważ zaś w Łęczyckiem, Kaliskiem, Łowickiem i na Kujawach wszyscy myśliwi używają nazwy „słomka“, przeto rzeczywiście ciekawą byłoby rzeczą dowiedzieć się, którego z powyższych dwóch terminów trzymać się należy. (P. R. Odpowiedź w artykule hr. Wodzickiego.

Na zakończenie niniejszej korespondencyi, niech mi wolno będzie wbrew przypiskowi sz. Redakcyi, a na poparcie słów p. W. Chmurowicza: „że przez wykastrowanie pies nie traci wrodzonych zalet, owszem... burzliwy (jego) temperament łagodnieje...“, przytoczyć następujący przykład. Pan J. K. w Łęczycy przez kilka lat używał do polowania wyżła rasy polskiej, wykastrowanego, a jednakże posiadającego wszelkie przymioty bardzo dobrego wyżła, a nadewszystko znakomity wiatr. Przed wykastrowaniem był hardy, nie pilnował domu, lecz po operacyi stał się od razu powolnym, domatorem i pilnującym swojego pana; w polu zaś był bardzo pracowitym i do samej śmierci bystrości wzroku nie stracił. Miał już lat sześć, gdy w zaprzeszłym roku w Lipcu wybiegł za swoim panem, jadącym na spacer, a znalazłszy pod mostem wodę, dla ochłody położył się w takowej. Włościanie pobliskiej wsi zoczywszy biedne psisko, samotnie chłodzące się pod mostem, dali znać miejscowemu rządzcy, który, zapomniawszy widocznie, że wścieklizna nazywa się inaczej „wodowstrętem“, z odwagą godniejszą lepszej sprawy dotarł do mostu, a mając dwojaką broń palną wystrzelił z jednej i ranił, jęczącego zaś dobił z rewolweru. Smutne, ale prawdziwe. Obecnie pan S. S. w Łęczycy posiada wykastrowanego pointera, który jest wcale dobrym wyżłem. Ale ponieważ wyżły niekastrowane są bardzo dobre, zatem nie poprawiajmy natury tem bardziej, że eunuchy psiego rodzaju bardzo szybko tyją. *W. Piekarski.*

KRONIKA.

Kongres myśliwski w Wiedniu. W wielkiej sali Towarzystwa rolniczego zebrał się w Wiedniu d. 17. Marca 1886 pod przewodnictwem hr. Abensperg-Traun drugi austryacki kongres myśliwski. Wybrano hr. Abensperg-Trauna jako prezydenta, hr. Henryka Thuna i hr. Alberta Kotulińskyego jako wiceprezydentów, radcę lasowego Edwarda Lemberga i zarządcę lasów K. Strzemchę jako sekretarzów. Pierwszy przedmiot porządku dziennego: Wniosek ustanowionego przez pierwszy kongres myśliwski komitetu *ad hoc* utworzenia wspólnego, publicystycznego centralnego organu wszystkich austryackich Towarzystw łowieckich, referował p. Józef Frank. Wniosek ten po krótkiej dyskusyi uchwalono i postanowiono rozszerzyć pismo: *Mittheilungen des niederösterreichischen Jagdschutzvereines* do rozmiarów oficyalnego organu wszystkich na kongresie reprezentowanych Towarzystw. Następny wniosek niższo-austryackiego Towarzystwa brzmi: „Należy przyjąć do przyszłych praw myśliwskich zasadę, iż polityczne władze przed udzieleniem pozwolenia lub przed nakazem wystrzeliwania jakiej zwierzyny w czasie prawnej ochrony tejże, powinne wezwać do tego nie tylko bezpośrednio uprawnionych, ale także sąsiednich myśliwych odpowiedniego rewiru jako interesontów, i że należy tychże przed powzięciem postanowienia władzy politycznej z zastrzeżeniem rekursu zawiadomić. Referent hr. Colloredo-Mannsfeld motywował ów wniosek tem, że przy braku wszelkiej prawnej dyrektywy, w jaki sposób ma być istotny nadmiar zwierzostanu skonstatowany, wytworzył się mniej więcej powszechny zwyczaj, iż władze polityczne przy sprawdzaniu stanu rzeczy wyłącznie polegają na orzeczeniu zwierzchności gminnej, nie polecając rzeczoznawcom badanie prawdziwości tych orzeczeń. Aby przeto właściciel polowania nie był zawisłym od dowolności odpowiednich gmin, w których rewir się znajduje i aby zaradzić spowodowanym przez to niesłusznościom i szkodom, poleca przyjęcie powyższego wniosku. Przyjęto go jednomyślnie, jakoteż następny wniosek tej treści: „Kongres uchwali: Do przyszłego prawodawstwa łowieckiego należy przyjąć, że zaprzysięgła straż myśliwska ma podczas swej służbowej czynności nosić urzędową, charakter straży publicznej znamionującą odznakę“. Nakoniec uchwalił kongres wniosek wyższo-austryackiego Towarzystwa łowieckiego, dotyczący zaopatrzenia na starość i w razie ubezwładnienia strażników myśliwskich, jakoteż zaopatrzenia rodziny pozostałej po nieszczęściem dotkniętych myśliwych. Do komitetu, który ma potrzebne w tym względzie kroki poczynić i następnemu kongresowi zdać sprawę oraz odpowiednie wnioski postawić, wybrano: br. Augusta Schwarza, markiza Henryka Bellegarda, Ludwika Boschana i Dra Willnera. W końcu oświadczył Dr. Berthold w imieniu ministerstwa rolnictwa, że ono zajmie się zbadaniem sprawy wynagradzania szkód przez zwierzynę zrządzanych z uwzględnieniem rozpraw i uchwał poprzedniego kongresu myśliwskiego jakoteż przygotowaniem odpowiednich prawodawczych przedłożeń dla sejmów krajowych i że prawdopodobnie wniesione będą dotyczące tej sprawy projekta prawodawcze conajmniej w niektórych sejmach krajowych już w następnej sesyi. Oświadczenie to przyjęto z zadowoleniem, poczem kongres został zamknięty.

Kołomyja 11. Kwietnia.

Odnośnie do zapytania sz. Redakcyi, umieszczonego w „Łowcu“ z d. 1. Stycznia b. r., donoszę co następuje: W drugiej połowie r. 1885. wystąpili prezes, jego zastępca i sekretarz z Wydziału Kołomyjskiego Tow. myśliwych, wskutek tego wystąpienia uzupełniono Wydział i o tych wyborach doniosło miejscowe czasopismo „Pomoc własna“. Doroczne ogólne zgromadzenie członków Towarzystwa zwołano na dzień 23. Stycznia, na którem uchwalono większością jednego głosu: *a)* od 1. Lutego do końca Czerwca nie polować na żadną pożyteczną zwierzynę, z wyjątkiem słonek na ciągu, *b)* nie wolno członkom przez cały ten czas brać z sobą psa w pole, *c)* zniesiono wyznaczone premje od ptaków drapieżnych i uwolniono członków od składania w Wydziale nóg sroczych, kań i t. p. Następnie przystąpiono do wyboru Wydziału na r. 1886. Wybrano jednogłośnie: prezesem p. Honorata Sendzimira, zastępcą prezesa p. Jana Kozakiewicza, wydziałowymi: pp. Wilhelma Szaprowskiego, Ludwika Smrzę, Jana Stetkiewicza. Z końcem r. 1885. pozostało w Towarzystwie 22 członków, z tych tylko 11 podało spis ubitej zwierzyny,

dwaj prawdopodobnie nic nie ubili, sześciu mało, innych trzech niewiadomy rezultat, zapewne nie wielki. Ubito ogółem: chruścieli 8, dubeltów 38, gołębi 3, kwiczołów 2, kaczek 24, kszyków 53, kurek 14, kuropatw 31, przepiórek 98, słonek 18, zajęcy 79, kozła 1; z drapieżnych czworonożnych 4, skrzydlatych 85, razem sztuk pożytecznej zwierzyny 369, szkodliwej 89. Do dnia dzisiejszego wpisało się do Towarzystwa na r. 1886 członków 25. Wkładkę miesięczną ustanowiono na 50 ct. czyli 6 zł. rocznie. Obecnie dzierżawi Towarzystwo prawo polowania w 12 gminach z obszarem 20.300 morgów. *S.*

Myczkowce 13. Kwietnia.

Już po raz drugi spotykam się w „Łowcu" z zarzutem, że słabo broniłem zaprowadzenia kart myśliwskich w Sejmie, raz to uczyniła Redakcya „Łowca", drugi raz korespondent z Karpat z nad Solinki. Korespondentowi się nie dziwię, został on bowiem przez Redakcyę w błąd wprowadzony, ale że Redakcya to uczyniła nie mając do tego ani powodu ani podstawy, było to dla mnie niespodzianką. Gdy poseł Abrahamowicz postawił wnioski o zaprowadzenie kart myśliwskich i opłat od psów, byłem temu przeciwny. Ludziom, którzy znają sposób załatwiania spraw w Sejmie, wiadomo, że wniosku, który dotycząca Komisya do Izby wnosi, a za którym się kluby oświadczyły, nikt nie obali w Sejmie przemową, bo to rzecz przesądzona w Izbie, dopełnia się tylko formalności — to jest głosowania. Wiedząc o tem staraliśmy się z posłem Gniewoszem w klubie rzecz tę obalić, gdy jednak usilne nasze starania oprócz koncesyi wyłączenia od opłaty gończaków obalić wniosku nie zdołały i wszelka nadzieja skutecznej walki była straconą, postanowiliśmy dołożyć starań, by załatwienie wniosku do przyszłego Sejmu odroczyć. W rok mogły się zmienić szanse, w najgorszym zaś razie byłby kraj kilkadziesiąt tysięcy o rok później zapłacił, ja żądałem odroczenia ze względów nieprawidłowego traktowania wniosku, a wiedząc że nikogo nie przekonam, bo kluby i Rusini za wnioskiem się oświadczyli, nie chciałem bez celu krytykować długo i szeroko rzeczy przez większość przyjętej, żądałem odesłania wniosku do komisyi dla zasiągnienia opinii Wydziału krajowego, Wydziałów powiatowych i Towarzystwa łowieckiego — lecz daremnie — nawet odroczenia nie uzyskaliśmy. Za to Redakcya „Łowca" wystąpiła przeciw nam z zarzutami, a nawet nie miała tyle poczucia sprawiedliwości, że gdy prosiłem o umieszczenie mego przemówienia w tej sprawie dla uniewinnienia się, to tego nie uczyniła i tym sposobem przyczyniła się jak świadczy korespondencya z nad Solinki, do zbałamucenia opinii moich wyborców. Oto nagroda jaką otrzymaliśmy z Gniewoszem za to, że byliśmy w całym Sejmie najzaciętszymi przeciwnikami zaprowadzenia kart myśliwskich i opłaty od psów — jest to ze strony Redakcyi niewiadomość czy zła wola? *Teofil Żurowski.*

P. R. Redakcya uważa za swój obowiązek zapewnić sz. korespondenta, jak to już w liście do niego pisanym uczyniła, iż w artykule swoim przeciw kartom myśliwskim, nie miała wcale zamiaru dotknąć kogokolwiek boleśnie, tem mniej osoby, które w tej sprawie do jej obozu należą i w całym ciągu działania „Łowca" szczerą dla niego objawiały życzliwość. Trzymała się ona w swoim wywodzie ściśle przedmiotu, wypowiedziała swoje przekonanie, a jeżeli musiała zacytować osoby, to wynikło to z konieczności. Dalsza polemika, dalsze wzajemnie czynione sobie wyrzuty, nie przyniosą korzyści sprawie, której tak sz. korespondent jak Redakcya gorliwe dotąd usługi nieśli, spór polega głównie na nieporozumieniu, które łatwo rozjaśnić i usunąć można, nie oddawając go pod sąd publiczny. Jak Redakcya nie przypisuje sz. korespondentowi złej woli dla niej, tak też niechaj będzie przekonany, że złą wolą, osobistą niechęcią dla niego, wcale nie była natchnioną. Korespondent z nad Solinki przesłał głos swój „Gazecie narodowej", nie „Łowcowi" w czasie, w którym artykułu Redakcyi „Łowca" wcale nie znał, co data stwierdzić może. Redakcya pragnie gorąco, iżby tem jej oświadczeniem pomyślnie zakończyła się polemika, która ani stronom spór wiodącym, ani czytelnikom „Łowca" przyjemności sprawić nie może.

Kamienna 3 Kwietnia.

Po przeczytaniu tylu artykułów w sprawie wniosku posła Abrahamowicza, przejęła mnie chęć skreślenia kilku słów. Potrzeby kraju wymagają podatków, Sejm je nakłada, a w roku zeszłym nałożył podatek na myśliwych. Myśliwi czując się nim dotknięci, wynurzają swoje zapatrywania w rozmaity sposób. Jedni, mianowicie dwaj są za nim, wszyscy inni przeciw niemu. Przy kim słuszność, czas okaże, jedno atoli mnie uderzyć musiało, że najbardziej występują przeciw temu wnioskowi ci, którzy jak sądzę, najmniej mają powodów, t. j. właściciele większych posiadłości, a co boleśniejsze, że w samem łonie myśliwych powstały ztąd polemiki dość ostrej natury, nie prowadzące wedle mego przekonania do celu. Nad wnioskiem tym debatowali w Sejmie nie myśliwi, nie można się przeto gorszyć, jeśli niefachowo go rozważono, czy atoli stała się przez to niesprawiedliwość, że charty opodatkowano a bigle nie, to wątpliwe, albowiem bigel już sam nakłada na właściciela swego znaczny podatek, a powtóre rodzaj ten psów żadnej szkody w zwierzostanie nie robi z powodu, iż jest nieprzystępny dla każdego a ten co go posiada, samopas go pewnie nie puszcza, czemu nikt bezstronnie na tę kwestyę się zapatrujący nie zaprzeczy. Inaczej się dzieje z chartem, albowiem ja sam znam takich kłusowników charcianych, którzy na piechotę szczują zające, a i takich znam także, którzy sami nigdy na konia nie siądą a trzymają kilka chartów, by służba łapała nimi zające. Wątpię, czy taki amator zechce płacić po 10 zł. za każdego charta, by sprawić przyjemność swej służbie, a co najgorsze, psy te nietylko polują z kuchcikami i lokajami ale też na własną rękę. czem wielką szkodę w zwierzostanie wyrządzają. Prawdziwy amator i myśliwy na charty, co straci na podatek, powetuje sobie pewnie na przyjemności a nawet jeśli o interes chodzi i na liczbie zwierzyny. Tak samo rzecz się ma i ze strzelbami. Jeśli by kto mógł narzekać na ten podatek, to tylko mniej zamożni myśliwi i ci, którzy rzadko polują, a nie ci, którzy na tem tylko zyskać mogą, jeśli będzie mniej myśliwych, naturalnie jeśliby był postawiony do tego wniosku mały dodatek, by z zebranego funduszu jakąś część ofiarowano na osobną straż, któraby miała obowiązek czuwać nad tem, by ci, którzy ponoszą takie ciężary, nie byli krzywdzeni przez kłusowników, którzy żadnych ciężarów nie ponoszą. Żeby z powodu tego wniosku miał się rozmnożyć zwierz drapieżny, jak utyskuje korespondent „Gazety narodowej", wątpię, naprzód z tego powodu, że o tem w ustawie jest pomyślane i straż wolną jest od opłaty karty myśliwskiej, jakoteż i psy wszystkie prócz chartów, z którymi się na drapieżną i szkodliwą zwierzynę nie poluje, wolne są od opłat, powtóre z doświadczenia każdy wie, że pod pokrywką obrony od drapieżców wylęgają się najgorsi drapieżcy, bo kłusownicy; a obławy rządowe dają aż nadto dokładny i pewny dowód, jak to dbają o swoje dobro ci, którzy sami proszą o takowe, a zamiast gonić zwierza, zbiera pogonka orzechy, grzyby lub w kupy się zchodzi dla pogadanki, wskutek czego rezultatem takich obław bywa często kilka niewinnych sztuk drobnej zwierzyny. Toż samo dzieje się z zasiadkami, zamiast dzika wyjdzie sarna lub niewinny zajączek i daje gardło za tamtego. Jak długo myśliwi żyją, znajdzie się wielu takich między nimi, którzy nie pożałują trudu w niszczeniu drapieżców. Wprawdzie jeden z szanownych korespondentów tak dalece się uniósł, iż woli od kłusowników kupować zwierzynę i patrzeć na psy bezkarnie się wałęsające po polu i lesie, jak zapłacić podatek od strzelby, lecz ja pozwolę sobie wątpić, iżby on przestał polować, a w przeciwnym razie, iżby był kiedykolwiek myśliwym. Co do drugiej kwestyi, iż rycerskość naszego narodu zginie z powodu opodatkowania strzelby i charta, to ośmielę się stanąć w obronie tego narodu i zaprotestować, bo tak źle nie jest, jakkolwiek dziś przyciśnieni biedą coraz mniej jeździmy konno, bo nie jednego ledwie stać na broniaka a nie na wierzchowca, to jednak za daleko posunięte jest twierdzenie, aby dla tego, że kilku w okolicy zapłaci za charty 30—40 zł., rycerskość zgasnąć miała, wszak może jeden posiadać parę chartów a kilkunastu z nimi polować, jak czynią myśliwi z biglami, a koń przecież nie jest opodatkowany. Nie chcę się rozpisywać dłużej bojąc się wywołać zbyt ostrej polemiki, której unikam, jednak na zakończenie niech mi wolno będzie wyjawić zdanie, iż my pod ciężarem uginamy się dla tego, iż on niestosownie rozłożony nas przygniata, pomijam wiele innych przyczyn, które atoli z myśliwstwem nic wspólnego nie mają, więc tu nie należą. Powtórzyć raz jeszcze muszę, że lepiej by było, gdyby pomyślano o tem, że jeśli podatek został nałożony na myśliwych, ci jednocześnie w lepszą niż dotychczas opiekę będą wzięci. *G. Głuchowski.*

Złotniki ad. Pantalicha.

Dnia 18. Marca b. r. zrana przy ośmiostopniowym mrozie wyszedłem do tutejszego lasu, przyczem mój legawiec wprosił się do mego towarzystwa. Gdym szedł leśną drogą, przemknęło nieopodal przedemną przez drogę kilka sztuk sarn, które cierpliwość towarzysza mego na niemałą próbę wystawiły, bo czy to wskutek uciechy ze spotkania się z sarnami, czy z innego powodu, okrążył mnie parę razy galopem w około, jak to zwykle u każdego psa jest w naturze, gdy okazuje swój dobry humor. Na zawołanie moje „do nogi" obiegł mnie jeszcze dwa razy w koło, za co został skarcony z widocznem jego niezadowoleniem. Kiedym następnie postąpił zaledwie kilkanaście kroków, pomknął tuż przy drodze zając co kilka kroków przysiadając, co zaciekawiło mnie nie mało, gdyż sądziłem, iż jest chorym albo okaleczałym. Mając go na oku, zboczyłem z drogi, aby zejść na trop, a że śniegi w lesie

były niezwykle głębokie, przeto kazałem szukać wyżłowi, który wyprzedziwszy mnie wnet stanął przy dość wysokiej zaspie śniegowej. Byłem pewny, że stanął do świeżo opuszczonego przez zająca miejsca, więc odwołując legawca chciałem, nie dostrzegłszy nic podejrzanego na tropie, napowrót wrócić na drogę, ale wyżeł mimo mego odwołania nie ruszył się z miejsca. Na głos mój „pójdź dalej“ wetknął głowę w istną jamę utworzoną w zaspie śniegu, z której wyciągnął jakiś mały, ciemny przedmiocik i z radością mi oddał. Jakież było zdziwienie moje, gdy przedmiocik ów okazał się małym zajączkiem niestety martwym, poczem zaraz wrócił legawiec z własnej woli znowu do jamki w zaspie i wydobył z niej jeszcze dwa takie same zajączki również martwe. Przekonawszy się następnie, że w owej jamie śniegowej nie było już więcej młodych, złożyłem napowrót martwe ciałka do tej jamki jakby do grobu, i odszedłem w dość odległe miejsce, aby najspokojniej zachowawszy się obserwować, czy ruszony zając, który zapewne był matką, wróci do swoich dzieci. Okazało się atoli, że do godziny 3ciej z południa ruszona matka nie wróciła do nich i najspokojniej zasiadła przy grubem drzewie o 80 do 90 kroków odległem od owego miejsca, a w dniu następnym zastałem nietknięte biedne martwe ciałka, które śniegiem grubo przysypałem, poczem najdokładniej szukałem, czy też matka wracała w nocy do swoich dzieci, lecz nie mogłem dociec tego, albowiem tego samego dnia przed zachodem słońca wzmógł się mróz, który w nocy doszedł do 6 stopni, zaczem trudno było na utworzonej skorupie tropy wyśledzić. Opisane młode wydane były według mego zdania zupełnie prawidłowo na świat i poginęły jedynie wskutek mrozu. Wieleż to takiego pomiotu marnie zginęło przy tegorocznej wyjątkowo długo-trwającej zimie, łatwo każdy myśliwy pojmie a t. z. „marczaki“ tylko z nazwiska na ten rok w tutejszej stepowej okolicy egzystować będą, do czego prócz śniegów i zimna przyczyni się także niezwykła ilość lisów. Dzień św. Józefa uważany jako pierwszy dzień wiosenny, dał nam nadzieję zbliżającej się wiosny, w postaci dwóch gołębi z gatunku grzywaczów, które bez wszelkiej obawy szukały na podwórzu leśnictwa pożywienia. Może to była awangarda tak długo i niecierpliwie wyczekiwanych słonek?

Dom. Buda.

Skała nad Zbruczem.

Pewny, że wszelkie szczegóły, dotyczące łowiectwa, sz. Redakcya chętnie przyjmuje, ośmielam się donieść o pojawieniu się w lasach naszych żbika *(felis catus)*. W lecie zeszłego roku donosili dwaj strażnicy lasowi, że spotkali w lesie zwierzę całkiem podobne do kota, ale wielkości miernego psa. W miesiącu Maju 1885 gajowy J. Poliszczuk opowiadał mi, co następuje: „Deszcz lał silny, stałem pod dębem, by ulewę przeczekać, wtem widzę zbliżające się zwierzę wprost do mnie, zdawało mi się, że to młody wilk, przygotowałem kij, którym chciałem je uderzyć lub przynajmniej rzucić za niem, ale tak byłem tym zwierzem zaciekawiony, żem zapomniał o tem mojem postanowieniu“. W krótkim czasie potem spostrzegł drugi gajowy wychodzące zwierzę z kryjówki lisiej, a że było blisko, poznał, że to nie był lis. Natychmiast przyszedł do mnie uradowany oznajmiając, że znalazł gniazdo wilków młodych. Udałem się niedowierzając z tym gajowym na miejsce wskazane, lecz bez skutku, sprawdziłem tylko nieznacznie wyciśnięte małe tropy na glinie i mimo twierdzenia gajowego, że zwierzę to było całkiem siwe, na niskich nogach, z krótszym i cieńszym, jak u lisa, ogonem, wracałem upewniony, że to był lis, bo jama ta nie wskazywała śladów stałego zamieszkania i z trudnością znalazłem trop słabo odbity, zupełnie do lisiego podobny. W Styczniu i Lutym nie wyśledzony szkodnik począł dziesiątkować gołębie i kury u p. Lisikiewicza, leśniczego w Iwankowie, jakoteż u jednego z gajowych. 25. Lutego p. Lisikiewicz użalając się na nowe szkody zrządzone w jego kurach, oznajmił mi, że nastawił żelazo na strychu nad stajnią, koło otworu w strzesze, podejrzywając, że nim kuna czy tchórz po kury się wkrada. Rano 26. donosi służący panu L., że kot złapał się w żelazo i tłucze się po strychu. „A to wypuść go“ — odpowiada pan L. — „Ale kiedy on jakiś duży i tak się tłucze, że nie można do niego się zbliżyć“. — „Przynieś go tu z żelazem“. Jak to zwykle chłop umie sobie poradzić, wyrąbał kluczkę z drzewa dość długą, zaczepił nią żelazo i siłą przyciągnął nieproszonego gościa do pokoju. Kilka silnych uderzeń kijem w głowę położyło koniec życiu złowionej ofiary. Tegoż samego dnia przywiózł pan L. do mnie owego zchwytanego, ogromnych rozmiarów kota. Lubo przed kilkunastu laty zabiłem w Stanisławowskiem, w lasach Pacykowa żbika, i miałem nieraz sposobność widzieć inne tego rodu okazy; zdziwiony niezwykłem pojawieniem się tu tego szkodnika, nie mogłem na razie stanowczo orzec, czy to jest żbik, czy też zdziczały domowy kot. Dopiero grono tutejszych myśliwych i zoologia usunęły wszelką wątpliwość, oznaczając w złowionem zwierzęciu żbika. Na dowód podaję opis: barwy siwo-brunatnej, czarno-pręgowanej, ogon gruby, długim stosunkowo włosem pokryty, okrągły, zakończony czarnym włosem, do połowy długośei wybitnie czarno w obwód pręgowany, od połowy zaś do osady w słabszych odcieniach. Długość od nosa do osady ogona 0·68 cm., długość wraz z ogonem 0.96 cm. Ważył $8^1/_2$ funtów wiedeńskich. Winienem tu także zanotować rzadkiej wielkości wilka, ubitego w tutejszych lasach podczas tegorocznego polowania. Długość od nosa do osady ogona wynosiła 1.60 cm., objętość ciasno mierzona 0.89 cm.

Antoni Gottwald.

Isaje 11. Kwietnia.

Dnia 2. t. m. zabił sławny kłusownik Stach Chomin dzika ogromnych rozmiarów, który po otrzymaniu ciężkiej rany kulą przepłynął jeszcze rzekę Stryj i na drugim brzegu padł martwy, gdzie go p. Kulhanek, leśniczy z Jasionki znalazł. 10. t. m. porwały wilki w południe gospodarzowi z Isaj Dmytrowi Dracz krowę i jałówkę, pasące się w ogrodzie. Temu gospodarzowi wszelkie bydło, jakie posiadał, wilki pożarły. 4. t. m. rozszarpały wilki 6 sztuk owiec w Isajach. *H. S.*

Popieluchy (Podole ross.).

Rachunek roczny myśliwstwa w Popieluchach u p. J. Brzozowskiego zamknęliśmy 1. Lutego i wykazujemy z r. 1885. następujące cyfry: kszyków 52, kuropatw 31, przepiórek 21, kurek wodnych 7, jastrzębi 79, orłów 7, puhacza 1, wilków 6, lisów 38, psów 35, kota 1, kozę 1 (sama rozbiła się o drzewo), kozłów 19, zajęcy 281, razem sztuk 579. Dołączam też rachunek pieniężny, który powinien być interesującym dla mieszkańców tej okolicy, bo wykazuje, że opieka nad zwierzyną nie jest bardzo wielkim zbytkiem nawet przy spieniężeniu małej części rezultatów polowań: nagrody dla straży za niszczenie drapieżników 33 rub. 60 kop., kupno padliny na trutki 9 rub. 50 kop., za odebranie 6ciu strzelb 12 rub., za odebranie złapanego kozła 5 rub., koszt naganek 79 rub. 65 kop., strzałowe dla podleśnych 23 rub. 20 kop., strzałowe kozakom i kurynnym 46 rub. 40 kop., rozchód 209 rub. 35 kop. Nadto wydano 5—6 fur koniczyny i kilka czetwertni pośladu. Sprzedaż zwierzyny w Odesie z potrąceniem kosztów 166 zajęcy po 70—80 kop. brutto, 10 kozłów po 6—7 rub. brutto 148 rub. 48 kop. a więc kosztuje myśliwstwo w r. 1885. 60 rub. 87 kop., przyczem zwracam uwagę, że rozdano i zatrzymano na potrzebę domową 152 sztuk zwierzyny i wszystkie skóry i ptaki. *Robert Pawlas*, nadleśny.

Isaje 21. Marca.

Dnia 18. Marca powracający z roboty ciesielskiej Ołeksa Hałyszyn, włościanin z Isaj, zastał w swojej oborze jakąś świnię, która nie była jego własnością. Chcąc się przypatrzyć, zbliżył się do niej i w tej chwili rzuciła się ona na niego z wielką zajadłością. Ołeksa przytomny, zręczny i zwinny ciął ją silnie siekierą w głowę i położył trupem na miejscu. Okazało się, że był to dzik roczniak, który przyłączył się do trzody, powodowany zapewne afektem miłośnym. Ołeksa sprzedał go leśniczemu za bajecznie tanią cenę, bo 50 centów. *H. S.*

Bobry. Na Polesiu słuckiem znajdują się bobry w siedmiu miejscowościach, mianowicie w leśnictwie Ochimowskiem nad rzekami Ptyczą i Siennicą, w Słuckiem nad Oressą, w Lenińskiem nad Wołchową i Słuczą, w Łachowskiem nad Łazną. We wszystkich tych siedmiu leśnictwach dóbr Słuckich znajduje się 122 chat bobrowych, 182 nor, 140 rodzin bobrów złożonych z 314 sztuk starych bobrów i 252 sztuk młodzieży. Bobry znajdują się jeszcze wśród lasów i wód ponad wszystkimi znaczniejszymi dopływami lewego brzegu Prypeci. *(Ognisko dom.)*

Maść do smarowania uszkodzeń na drzewach, powstałych przez obgryzienie kory. Rzadko kiedy uszkodziły zające tyle drzew, ile w roku bieżącym z powodu zbyt śnieżnej i stałej zimy. W niektórych miejscach spinając się po nawiałym śniegu poobgryzały one nawet gałęzie korony. Jako najlepszy środek na uszkodzenia częściowe doradza p. Stadler maść złożoną ze smoły twardej, używanej przez szewców i spirytusu. Na 1 kg. roztopionej smoły wlewa się 10 dkg. okowity przez co staje się płynną, nawet po wystygnieniu i można smarować tą maścią uszkodzone części drzewa za pomocą pendzla, przyczem zastyga i chroni rany najskuteczniej od wszelkiego przystępu powietrza.

(Tygodnik roln.).

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr 18.

Z Związkowa Drukarnia we Lwowie.